Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

„ŻYWY ASSYŻ" JÓZEFA WITTLINA

Dziś 6 stron

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Oddziały „Wiadomości Literackich"

w Łodzi, Narutowicza 14

w Paryżu, 123, boul. St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru za granicą 3 fr. franc. (0,15 dol.)

Nr. 2 (106) Warszawa, Niedziela 10 stycznia 1926 r. Rok III

Przypominamy Szanownym Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na kw. I 1926 r. (zł. 6.50 w kraju, 2 dol. zagranicą, konto w P. K. O. 8.515).—Zeszyt „Wiadomości" w prenumeracie kosztuje tylko 50 gr., nabyty oddzielnie 80 gr.

Juljusz Kaden-Bandrowski

Za przykładem Warszawy

Dwa lata temu mniej więcej, z racji t. zw. kryzysu polskiej książki literackiej, rozpoczął się spór publiczny pomiędzy wydawcami a pisarzami, dotyczący kosztów produkcji książki i warunków bytu literatów.

Spór ten wyświetlił dwa odrębne stanowiska. Pisarze stwierdzili naogół, iż a) w danych warunkach wydawniczych trudno wyżyć z pracy autorskiej, b) iż przy kalkulacji książki są znacznie poszkodowani w porównaniu z dochodami wydawców, c) iż wobec powyższego produkcja literatury pięknej jest w pewnym sensie niemożliwa, jako prowadząca „robotnika pisarskiego" do nędzy i — jakże często — głodowej śmierci.

Wydawcy bronili swego stanowiska twierdząc, że kalkulować książek z uwzględnieniem interesów pisarza przy obecnych małych ilościach nakładu nie można, książka bowiem w czasach dzisiejszych nie znajduje odbiorców.

Spór ten nie został ostatecznie roztrzygnięty. Pojawienie się złotego poprawiło stosunki stron wojujących, lokaut wydawców zelżał, Zawodowy Związek Literatów przesunął punkt ciężkości swych prac ku sprawie zasadniczej, t. zn. sprawie prawa własności autorskiej.

Srożący się obecnie kryzys zastaje „brać autorską" w znacznie lepszych warunkach, niż się znajdowała dwa lata temu. Zwrócono na nas niejaką uwagę w „kołach miarodajnych", zrozumiano, że do pewnego stopnia należy nam pomóc.

Sejm przyjął świetną ustawę o prawie autorskiem. Należy z radością stwierdzić, iż fantastyczne dzieje nieograniczonych ilości nakładu, t. zw. nadbijań, które znakomity Sieroszewski mierzył ongiś w hurtowniach wydawcy krawieckim metrem, należą do przeszłości. Przyjęte w ustawie rygory prawne ochraniają pracownika dostatecznie przed wyzyskiem.

Rządowi Rzeczypospolitej zawdzięczamy, prócz kilku stypendjów, ustanowienie literackiej nagrody dorocznej, udzielanej przez ministra oświecenia, przyczem stwierdzić należy, iż statut tej nagrody daje rękojmię najwłaściwszego jej przydziału, na mocy wyroku sędziów, powołanych z grona związków pisarskich, którzy zasiadają pospołu z dyrektorem departamentu kultury i sztuki oraz z rzeczoznawcą rządowym.

Równocześnie z inicjatywą rządu pojawiła się inicjatywa wydawców. Zdając sobie sprawę z trudnego położenia pisarzy, ustanowili oni doroczne nagrody za prozę, poezję i krytykę.

Do powyższych dochodzą uchwalone pod koniec roku ubiegłego przez władze miejskie Warszawy dwie nagrody imienia Żeromskiego i Reymonta, po dwa tysiące złotych każda.

Nim przejdziemy do omówienia chwalebnego kroku władz miejskich Warszawy, pragnęlibyśmy wyłuszczyć nasze rozumienie sensu owych nagród. Piszę — my, przypuszczam bowiem, że ogół kolegów po piórze podziela rozumienie niżej wyłuszczone.

Nagroda nie wydaje się nam aktem łaski czy jałmużny. Uważamy ją przedewszystkiem za wyraz uznania dla pisarza, za chęć zwrócenia uwagi czytającego ogółu na nagrodzonego twórcę.

Dołączone do nagrody pieniądze rozumiemy jako akt wsparcia — nagradzający wiedzą, jak jest ciężko w tym zawodzie, śpieszą tedy z tem, czego tu najwięcej brakuje, t. j. z pieniędzmi. Ofiarowanie ich jest aktem serdecznego wniknięcia w położenie.

Uchwalone przez Warszawę dwie nagrody mogłyby się stać w naszem życiu literackiem zdobyczą niezmiernie cenną. Umiejętnie wyzyskane przez ofiarodawców i związki, mogą istotnie wiele pomóc w kryzysie obecnym, tak mimo wszystko ciężkim dla „pracowników pióra".

Zdobycz ta ma, naszem zdaniem, kapitalne znaczenie. Pierwszy to raz w Polsce miasto daje publiczny wyraz zajęcia się sprawą literatów. Wybranych pragnie otoczyć blaskiem swego autorytetu, narzuca do pewnego stopnia mieszkańcom swym nie tylko osoby, lecz sam fach, jego ważność i doniosłość.

Napisaliśmy powyżej: zdobycz umiejętnie wyzyskaną przez ofiarodawców i związki. W rzeczy samej, całą sprawę należy umiejętnie postawić, aby wybór sądu i laureata cieszył się odpowiednią powagą.

W ogólnych zarysach wyobrażamy sobie przeprowadzenie tej rzeczy tak.

Za przykładem rządu miasto zawezwałoby do składu ciała orzekającego o nagrodach — przedstawicieli związków i stowarzyszeń literackich. Ze swej strony, zapewne z wydziału kultury, wyłoniłoby jednego czy dwóch sędziów.

Przedstawiciele związków i miasta wybraliby z pośród siebie przewodniczącego.

Uważamy za rzecz ważną, by sądowi nie narzucano przewodniczącego „zgóry". Im mniej nacisku z owej „góry" — tem większa powaga składu sędziów i ich orzeczeń.

Skład „jury" ustanowi warunki dla dzieł, godnych nagrody. Sądzę, iż pierwszym z nich, acz formalnym, będzie miejsce zamieszkania danego pisarza. Musi on od lat dwóch czy trzech mieszkać w mieście, które z funduszu swych obywateli — nagradza. Niestosowne wydają mi się ograniczenia wieku (jak to miało miejsce przy nagrodzie wydawców, na korzyść krytyki z upośledzeniem twórców), prowadzące do śmiesznych metrykalnych precedensów.

Konieczne natomiast wydaje mi się określenie czasu działalności. Nagrody winny być przydzielane pisarzom działającym, a więc za „najlepszą" książkę z ostatnich dwóch, trzech czy czterech lat.

Wydaje się nam rzeczą słuszną, że miasto ma na widoku prozę i poezję. Sztuce dramatycznej udziela już przecie poparcia w prowadzonych przez siebie teatrach, krytycy zaś z natury swego fachu są naogół zawsze w lepszej kondycji materjalnej od t. zw. twórców — jako profesorowie, odczytowcy, sprawozdawcy w pismach i t. d.

Przy miejscu zamieszkania należałoby upierać się głównie dlatego, by za przykładem Warszawy poszły inne miasta Polski, w których tworzą całe zastępy ludzi zdolnych, łamiących się z ciężkiemi warunkami zawodu. Lwów, Kraków, Poznań, Wilno, Toruń, Łódź, Lublin, Bydgoszcz mogą poświęcić nieznaczną w gospodarce miasta sumę na nagrodę literacką swego imienia.

Miałoby to doniosłe znaczenie dla zainteresowania się ruchem literackim w Polsce, narazie tak powszechnie zaniedbanym. Przyczyniłoby się do ściślejszego zrzeszenia się pisarzy, którzy z pomiędzy siebie mają posłać sędziów do miasta. Zaznajomiłoby mieszkańców z talentami, które, nie mając do rozporządzenia prasy, nie zawsze są dość znane na miejscu. Po trzecie — i to najważniejsze — przyczyniłoby się wydatnie do artystycznego wyzyskiwania przez pisarzy danych warunków lokalnych, historycznych, gwary, zabytków, folkloru i t. d.

Twórca, przebywający w terminie nagrody dwa, trzy, cztery lata we Lwowie, Krakowie, Lublinie czy Łodzi, siłą rzeczy czerpać będzie kanwę do swej twórczości z pośród swego otoczenia. W ten sposób możemy do pewnego stopnia pobudzić odłogiem u nas jeszcze leżącą (tak pięknie wyzyskaną w Belgji, gdzie każde miasto niemal ma w literaturze swego pisarza) nutę wartości lokalnych, nutę pod każdym względem — narodowym, języka, przeszłości, obyczajowym, współczesnym — o kapitalnem znaczeniu.

Gdyby wielkie miasta Polski poszły za przykładem Warszawy — oddałyby przyszłości literatury nieocenioną usługę. Nie apelując do rządu, w zakresie własnym popchnęłyby naprzód sprawę, która dziś — przy zalewie czytelnika polskiego przez obce, niejednokrotnie fatalne i w treści i w formie przekłady — wygląda już bardzo groźnie.

Śmierć Żeromskiego i Reymonta winna tu być najszlachetniejszą pobudką. Składamy wszyscy czoła przed Ich genjuszem i pracą. Pamiętać jednak winniśmy o straszliwie ciężkich warunkach i gorzkim zaiste losie, w jakich ci znakomici pisarze pracowali przez całe życie. Dopiero w ostatnich latach przestali walczyć o najskromniejsze warunki bytu. Ileż sił, zdrowia stracili na rzeczy, niegodne zaiste Ich drogocennego czasu!

Czyż nie powinniśmy oszczędzić następcom tego, co tak gnębiło poprzedników? Za przykładem Warszawy miasta polskie mogą powziąć uchwałę pierwszorzędnego znaczenia dla rozwoju literatury ojczystej.

U znakomitego germanisty

Wywiad z prof. Zygmuntem Łempickim

Gabinet prof. Łempickiego w seminarjum germanistycznem uniwersytetu jest dobrem miejscem pogawędki. To też szybko zapomina się tu o oficjalnej formie wywiadu — z ciekawością słucham tego, co mówi germanista polski o książkach i sprawach dnia dzisiejszego i o tych rzeczach, które były jeszcze przed kilku laty „dernier cri", a dziś przeszły tak bardzo do „illo tempore"... Ustawiczna zmiana mód naukowych jest przecież najcharakterystyczniejszym objawem w dziejach współczesnej wiedzy o literaturze. Interesuje mnie jednak przedewszystkiem ewolucja intelektualna samego prof. Łempickiego.

— Czy odrazu, już w zaczątku studjów akademickich, zdecydował się pan profesor zostać germanistą?

— Do studjów nad literaturą niemiecką zachęcał mnie mój nauczyciel, do dziś jeszcze uczący w gimnazjum im. Batorego we Lwowie, prof. Emanuel Roszko. Potem na uniwersytecie zapał mój spotęgował się pod wpływem wykładów R. M. Wernera. Werner wyszedł wprawdzie z filologicznej szkoły Scherera, ale mimo to kładł główny nacisk na analizę walorów artystycznych dzieła. Uczniów puszczał samopas. Już pierwsza praca w jego seminarjum, a potem studja filozoficzne pod kierunkiem prof. Twardowskiego zwróciły moje zainteresowania ku zawartości dzieła i problematom metodologji literackiej. We wstępie do rozprawy doktorskiej p. t. „Immermanns Keltanschauung" wystąpiłem przeciwko jednostronności metody filologicznej, nie przypuszczając, że daję wyraz poglądom, które niebawem zapanują w Niemczech. W Berlinie pracowałem pod kierunkiem dwu znakomitych przedstawicieli metody filologicznej: Ericha Schmidta i Gustawa Roothego. Tam dopiero zrozumiałem, że krytyka i objaśnianie tekstu może być punktem wyjścia dla zrozumienia duszy narodu — ideał, który przyświecał już Schererowi. Najłatwiejszą drogą do uchwycenia jądla psychicznego nie tylko jednostki, ale i narodu, wydała mi się wtedy filozofja Diltheya. Pamięć jego żyła jeszcze w Berlinie wśród szczupłego grona uczniów. Mogę powiedzieć, że zająwszy się jako historyk literatury Diltheyem, antycypowałem stanowisko dzisiejszej nauki niemieckiej. Dilthey bowiem właśnie zaczął pojmować dzieło literackie jako wyraz przeżycia jednostek i epok, przeżycie zaś uważał za wynik struktury psychicznej. Z poglądami Diltheya zapoznałem czytelników polskich w monografji, ogłoszonej w „Przeglądzie Filozoficznym" w r. 1913. Prace Diltheya były dla mnie podnietą do zastanawiania się nad metodą badań literackich oraz nad dziejami ich rozwoju w Niemczech. Wyniki tych studjów przedstawiłem w książce p. t. „Geschichte der deutschen Literaturwissenschaft bis zum Ende des XVIII Jahrhunderts". Dalsze jej części mam już przygotowane do druku.

— Co sądzi pan profesor o stanie współczesnych badań nad literaturą?

— W Niemczech powstają coraz to nowe szkoły i kierunki. Wszystkim wspólne jest odwrócenie się od metody filologicznej, pozytywizmu w badaniach literackich. Dokonywa się zwrot ku idealizmowi. Jest to coprawda zupełnie naturalna reakcja przeciwko wyłącznemu przedstawianiu genezy utworu, analizy motywów i t. p. Niemniej u niektórych przedstawicieli tego kierunku intuicja objawia się przedewszystkiem w sztucznej frazeologji, w tworzeniu formuł i skrótów, słowem — futuryzm w badaniach literackich, dążenie do monumentalizacji! W usiłowaniach tych tkwi wiele wartości, ale z naukowem traktowaniem przedmiotu nie mają one nic wspólnego. Niepodobna porzucić pracy wedle programu filologów pozytywistów, chociaż niepodobna też na niej poprzestać. Najwięcej szans oparcia naukowego daje system filozoficzny Diltheya — wiele cennych podniet zawdzięcza nauka o literaturze pracom romanisty niemieckiego Vosslera, który, związany przyjaźnią z Benedyktem Croce, jest z nim też najbliżej duchowo spokrewniony. Vossler żąda dokładnego zbadania języka jako wyrazu indywidualności autora, przez co restytuuje na innych, niż pozytywiści, podstawach związek pomiędzy literaturą a językiem. Wbrew poglądom Eugenjusza Kucharskiego i Juljusza Kleinera uważam także język za materjał poezji. Ale zdaniem mojem praca historyka literatury nie może się ograniczyć do samej analizy dzieła, trzeba także śledzić życie dzieła i reakcje, jakie wywołuje ono u krytyków i publiczności. Ze współdziałania tych trzech czynników składa się życie literackie — istotny przedmiot historji literatury, którą należy również oprzeć na podstawach socjologicznych. Poglądy te wyrażałem już kilkakrotnie. W artykule o prądach i kierunkach badań literackich, pisanym dla wydawnictwa „Reallexikon der deutschen Literaturgeschichte", traktowałem to ujęcie jako punkt ostateczny, zawiera ono bowiem w sobie implicite wszystkie inne. Życie literackie przeistacza się tu w zwierciadło duchowego życia narodu — w ten sposób można, zgodnie z zasadniczemi ideami wielkich filologów, dojść poprzez dzieło literackie do tego, co się obrazowo ozwie duszą narodu.

— Czy jednak rola germanisty polskiego nie wpłynęła na fakt, że tak chętnie traktuje pan historję literatury jako narzędzie pomocnicze dla zrozumienia duszy narodu? Tego rodzaju badania, mają przecież największe znaczenie dla cudzoziemców?

fot. St Brzozowski

ZYGMUNT ŁEMPICKI

— Tak, istotnie ten punkt widzenia daje wielkie korzyści germanistom nieniemieckim. Ujęcie historji literatury jako nauki o życiu literackiem, a filologji nowożytnej jako nauki o życiu duchowem danego narodu, stało się wogóle podstawą nauki o zagranicy, uprawianej dziś przez Francuzów i Niemców. O celach tej nauki pisałem w „Przeglądzie Współczesnym". Powinna ona stanowić u nas podstawę studjów filologji nowożytnej. Zadaniem filologji niemieckiej musi być także zobrazowanie duchowego życia Niemców w chwili obecnej — ma to oczywiście znaczenie nie tylko naukowe, ale i praktyczne, przedewszystkiem w polityce. W tym zakresie Niemcy sami rozwinęli działalność niezmiernie intensywną.

— A więc wedle pana profesora zadania germanisty polskiego nie ograniczają się wyłącznie do przedstawiania wyników badań ściśle literackich?

— Zadaniem polskiego germanisty musi być zapoznanie studentów polskich nie tylko z treścią i formami niemieckiego życia duchowego, ale też ze sposobami, któremi Niemcy sami je badają. A trzeba przyznać, że na tem polu Niemcy bardzo wiele zrobili. Dużo można się od nich nauczyć, choć oczywiście trudno przyjmować bez zastrzeżeń pewne dziwactwa ich mód naukowych i niepodobna przeszczepiać bezkrytycznie obcych metod pracy na grunt umysłowości odrębnej. Zdaniem mojem nowożytny filozof polski winien informować o ruchu naukowym zagranicą, to też nie cofałem się przed momentem informacyjnym w swoich pracach polskich. Tem bardziej, że na polu metodologji badań, zwłaszcza w literaturze, panują u nas poglądy przestarzałe. Ci, którzy wyrzekają na Niemców i metodę niemiecką, nie wiedzą, że Francuzi sami, by wspomnieć Lansona i Bédiera, poszli w ślady Niemców. Lekką gadaninę i perorowanie z namaszczeniem w sprawach literackich uważa się u nas za francuski styl naukowy. Dziś raczej w Niemczech występują te zastraszające objawy.

— Najnowsze zjawiska literackie wchodzą oczywiście w zakres badań germanisty polskiego. O ile mi wiadomo, interesuje się pan profesor żywo współczesną literaturą niemiecką. Czy można wiedzieć, jaki jest pogląd pana na najnowsze szkoły literackie w Niemczech?

— Sądzę, że cały rozwój współczesnej literatury niemieckiej (mam oczywiście na myśli tylko tych, którzy reprezentują jakieś nowe chcenie) jest jeszcze ciągłe reakcją przeciw naturalizmowi. Naturalizm wraz z impresjonizmem i obok niego stanowi w gruncie rzeczy dążenie od obrazu do wyrazu, dążenie — jak zwykle w Niemczech — zdecydowanie świadome. Gdybym pisał kiedyś rzecz p. t. „Psychologja literatury niemieckiej", to tę świadomość w stawianiu sobie celów i programów uważałbym za jedną z głównych cech literatury niemieckiej. Łączy się to, mojem zdaniem, z inną jej specyficzną cechą, t. j. dążeniem do oryginalności, znowu zupełnie świadomem. Niemcy bowiem przeważnie biorą zasadnicze postulaty od obcych, ale usiłują być oryginalni w stylizacji programu. Nic dziwnego, że prawdziwe dzieła sztuki powstają dopiero tam, gdzie niema tej świadomej woli stworzenia czegoś nowego i innego. Takim fenomenem literackim, największym wykwitem stylu, jest dziś dla mnie twórczość liryczna Stefana George i R. M. Rilkego. Widzę oczywiście wielkie talenty epickie, choćby Mannów, ale dramat niemiecki jest dziś raczej źródłem naukowem do poznania psychologji współczesnych Niemców, niż dokumentem jakiegoś wybitniejszego stylu. Widzi się próby rozpędu, zwłaszcza w liryce, ale dzieł porywających jak dotychczas niema, mimo że wszyscy mówią o potrzebie stworzenia nowego stylu i nowej kultury. Niemcy czekają na nowego Nietzschego, któryby się radykalnie rozprawił z prorokiem filozofji upadku, Spenglerem.

— Chciałabym też się dowiedzieć czegoś bardziej konkretnego o własnych planach pana profesora?

— Moje prace? Najpierw obowiązki, a więc tom II „Geschichte der deutschen Literaturwissenschaft" i „Handbuch der literarischen Methode", zamówione przez nakładcę niemieckiego. Mam też gotowych kilka rozdziałów po niemiecku napisanej historji krytyki literackiej w Niemczech, której brak dotąd, i kilka mniejszych prac językowych, ale tytułu ich podać jeszcze nie mogę, wywołałoby to bowiem u jednych wesołość, u innych zaś uśmiech politowania. U nas jeszcze daleko do zrozumienia pewnych problematów naukowych. Po polsku mam gotową monografję o Shaftesburym, chciałbym do r. 1932 wykończyć książkę o Goethem, powstałą z moich wykładów. Pracuję nad wydaniem „Don Carlosa" Schillera dla „Bibljoteki Narodowej", gdzie także mam zamiar wydać wybór estetyków niemieckich od Winckelmanna do Hegla, ze szczególnem uwzględnieniem poetyki. Przygotowuję wydanie moich drobniejszych rozpraw, marzę o napisaniu większej pracy niemieckiej o wpływie pietyzmu na rozwój języka niemieckiego, a jak pójdę na emeryturę — napiszę historję literatury niemieckiej po polsku...

Regina Reicherówna.

Jak się uczyli współcześni wybitni pisarze polscy?

Odpowiedzi na ankietę „Wiadomości Literackich"

1. Jak się Pan uczył w szkole średniej? 2. Czem się Pan najbardziej interesował? 3. Jaki był Pana stosunek do literatury?

Juljan Ejsmond

O szkole średniej gen. Chrzanowskiego, w której się uczyłem, właściwie nie powinienem nic mówić.

Jeżeli bowiem „przysłowia są mądrością narodów", to mamy przysłowie: „Choćby cię smażono w smole, nie mów co się dzieje w szkole". A słowa te o smole tem bardziej można zastosować do szkoły, która się mieściła na ulicy Smolnej.

Z powodu jednak wrodzonego mi zamiłowania do robienia rzeczy, których robić nie należy, na trzy zadane mi pytania odpowiem.

Uczyłem się w szkole średniej dobrze. Byłem jednym z pierwszych uczniów. Skończyłem ją cum laude. Prymusem nie byłem, ponieważ jest to maszyna, która robi dużo gwałtu i zostawia po sobie zawsze nieprzyjemny swąd.

Zainteresowania miałem różne. Na lekcjach łaciny, gdy nauczyciel mówił pięknie o nimfach „uśmiechniętych pod względem ust" i „nagich co do ciała", nie interesowałem się gramatyką ani etymologją tych zdań.

Na lekcjach historji Rosji, gdy nasz wykładowca drapał się co jakiś czas, interesował mnie rodzaj insektów, które tak brutalnie niepokoiły czcigodnego pedagoga.

Na innych lekcjach pisałem najczęściej utwory luźno związane z osobą profesora lub „szumiałem", jak to odnotowywał w swym „notesiku" stale prof. U.

Stosunek mój do literatury był miłosny. Szczególnie dobrze czytało się podczas matematyki. Pisać zacząłem bardzo wcześnie. Pierwszą bajkę drukowałem w „Kurjerze Warszawskim", będąc w pierwszej klasie, jako jedenastoletni człopiec, około dwudziestu lat temu.

Łacinę wyśmiewałem bezlitośnie. Na piękno rzymskiej poezji otworzył mi oczy dopiero Sienkiewicz, który, przeczytawszy jedną z mych młodzieńczych bajek o „martwym ozorze", doradził mi poza szkołą obcować z łacińskimi poetami.

W szkole nauczyłem się jednej rzeczy: zdobyłem pewność, iż trzeba ją nato skończyć, aby się zacząć uczyć.

Ferdynand Goetel

1. W szkole średniej uczyłem się rozmaicie. Należy tu zresztą rozgraniczyć cenzurę od samego „uczenia się". Otóż cenzury miewałem wszelakie, a nie uczyłem się nigdy, wskutek wrodzonego lenistwa i wstrętu do zajęć przymusowych. Stwierdzam ponadto, iż kwestja nauki była czynnikiem drugiej wagi w mej karjerze szkolnej, podczas gdy sprawą kapitalną były obyczaje, przeważnie naganne, a nigdy lepsze od dobrych. Historja mych lat szkolnych dzieli się na trzy etapy: a) od klasy pierwszej do czwartej włącznie okres burzliwy i ponury, w ciągu którego zmieniłem trzy zakłady gimnazjalne, uchodząc naogół za chłopca tępego o instynktach zbrodniczych (wielu profesorów uważało mnie za straconą jednostkę, a pewien dyrektor gimnazjalny oświadczył wręcz memu opiekunowi, iż kwalifikuję się na szubienicę, b) od klasy czwartej, przez szkołę kadecką, aż do egzaminu do szóstej realnej — okres przejściowy, w którym uchodziłem za zdolnego lenia, i c) finał w szkole realnej, gdy wybiłem się na prymusa klasowego, nie pracując dziwnym zbiegiem okoliczności więcej niż w latach dawniejszych.

We wszystkich tych etapach rolę niezmienną odgrywał przypadek takiego czy owego dojścia do porozumienia z profesorem. Bywało przecież, iż wraz ze zmianą profesora zmieniała się cenzura z danego przedmiotu z dostatecznego na celujący. Chemja i greka były mą piętą achillesową. Zaznaczę jeszcze, iż szkoła w granicach swego programu nie zachęciła mnie do żadnej z nauk, a cały wyniesiony z niej materjał wyleciał mi z pamięci ze zdumiewającą szybkością i gruntownością. Silniejsze ślady pozostawiły t. zw. lektury prywatne i pozaszkolna praca samokształcieniowa.

Walorem wszakże wyniesionym ze szkoły, walorem nieporównanej ceny są wspomnienia o dobrych profesorach.

2. Więcej od innych nauk zajmowała mnie przyroda, aczkolwiek dwója, otrzymana w trzeciej klasie z botaniki, dała mi się ciężko we znaki. Lubiłem wycieczki przyrodoznawcze, później czytałem z pasją podręczniki i dzieła astronomiczne i geologiczne, w końcu zaś zajęła mnie historja sztuki. Wszystko to jednak poza programem i murami szkoły. Byłem też zapalonym sportowcem i turystą.

3. Wyróżniającego stosunku do literatury nie było. Czytywałem wiele, grubo więcej, niż obejmował program szkolny, i grubo wcześniej, niż należało, lecz czyniłem to również w zakresie nauk innych. Profesorowie przyznawali mi niekiedy pewne uzdolnienia w zakresie polskiego języka. Jedynym jednakże człowiekiem, który przepowiadał mi zdecydowanie przyszłość literacką, był „Oberleutnant v. Krafft", nauczyciel języka niemieckiego w szkole kadeckiej we Lwowie. Tamże otrzymałem pierwsze „celująco" z języka polskiego od kapitana Kunzaka.

Do ulubionych mych pisarzy należeli: Słowacki, Szyller, Ibsen, Kasprowicz, Żeromski i Hegel. Sądzę, iż podobaliby mi się również inni, gdybym ich przeczytał, i gdyby Wilhelm Feldman nie napisał swoich książek.

Antoni Słonimski

Na pytanie, jak się uczyłem w szkole średniej, odpowiedzieć muszę, iż uczyłem się dobrze, ale przeważnie rzeczy nieobjętych programem szkolnym. Już w klasie pierwszej nauczyłem się pluć przez zęby, gwizdać na dwóch palcach i podstawiać nogę. W drugiej klasie umiałem puszczać dym nosem i grać w „kukso".

Przyznać jednak muszę, że rzadko udawała mi się „centra", a przy wsuwaniu robiłem t. zw. „grabki". Również w drugiej klasie posiadłem sztukę oszukiwania przy grze w pasek oraz sekret „przekładanki w tył". Wogóle z krótkiego pobytu w szkole średniej wyniosłem doskonałą znajomość psychologji ludzkiej, wielką wprawę w oszukiwaniu nauczycieli oraz potężną pomysłowość i oszołamiającą inwencję w kłamstwach. Z wiadomości ścisłych nic prawie nie zostało mi w pamięci. Jedynym bodaj istotnym faktem, który udało mi się zapamiętać, jest adres szkoły i numer telefonu kancelarji.

Najbardziej interesowały mnie w szkole powody, dla których kolega Piffke był zawsze tak czerwony na twarzy. Przez długi okres interesowało mnie bardzo, czy to, co kolega Szynkman rzucił w czasie lekcji na tablicę, było naprawdę tylko piernikiem rozmoczonym w wodzie. Interesowały mnie również t. zw. sprawy płciowe, ale wrodzony sceptycyzm przeszkadzał w uznaniu prawdy, popartej zresztą najoczywistszemi dowodami.

Stosunek mój do literatury był bardzo sumienny i uczciwy. Począwszy od klasy drugiej czytywałem systematycznie książki wypożyczane z Bibljoteki Publicznej. Powodowany absolutną bezstronnością, studjowałem dzieła w porządku alfabetycznym, jak podane były w katalogu czytelni.

Pierwszą książką było dzieło p. A. B. p. t. „Bazyli i Zofja", potem zaznajomiłem się z pracą p. Adamusa p. t. „Wyznanie kobiety", następnie przeczytałem „Dziewice skał" d'Annunzia, „Anatemę" Andrejewa i „Pieśni uwodziciela" Bezimiennego. Przy dziele C. Bernharda p. t. „Himmlische und irdische Liebe" zatrzymałem się nieco dłużej, zupełna bowiem nieznajomość języka niemieckiego przedłużyła nieznacznie proces czytania. Następnie poznałem książkę Boya p. t. „Słówka", która wydała mi się równie niezrozumiała jak dzieło poprzednie. Niestety, w klasie czwartej doszedłem do litery „K" i natrafiłem na dzieło p. Krzywoszewskiego p. t. „Pani Jula". Dzieło to wywarło na mnie wpływ decydujący. Ogarnęło mnie lenistwo, smutek, nuda, popadłem w złe towarzystwo, w alkoholizm, i zostałem wyrzucony ze szkoły.

I. K. Iłłakowicz

W okresie szkoły średniej należałam do rzędu dzieci fenomenów. Uczęszczałam do szkoły krótko i dorywczo, przeważnie uczyłam się w domu i zdawałam egzamina w rosyjskich szkołach rządowych rekordowo, t. j. przechodząc po kilka klas w ciągu jednego roku. Mając lat siedemnaście miałam w ten sposób poza sobą cały program szkoły średniej, nie wyłączając greckiego i łaciny. Straszliwy ten system musiał poczynić wielkie spustoszenia w mojej pamięci, co się zapewne na starość okaże. Pamiętam, że gruby tom geografji Rosji przeszedłam z nauczycielką w trzy dni, pomiędzy egzaminami. Kiedy ustawałam, kładłam się, a ona mi czytała, aż obie zasypiałyśmy. Program z greckiego (osiem klas gimnazjum męskiego) przeszłam w pół roku i zdałam celująco. Powinnam stanowić odstraszający przykład — jak n i e należy się uczyć.

2. Interesowałam się jako pięcio—siedmioletnie dziecko namiętnie geografją i mineralogją, — do lat trzynastu lubiłam bardzo języki i religję, później nie interesowały mnie nauki wcale, aż do uniwersytetu, stanowiły tylko materjał akrobatyczny do osiągania sukcesów egzaminowych. Wyjątkowo zapalałam się chwilowo do matematyki. Zdaje mi się, że nie spotkałam po siódmym roku życia wcale dobrych profesorów, ani dobrego systemu nauczania.

3. Literatura nie interesowała mnie wcale w okresie szkoły średniej (t. j. teorja literatury), nienawidziłam też pisania wypracowań po polsku. Chętnie bardzo pisałam je w obcych językach. Pasjami lubiłam uczyć się na pamięć wierszy i umiałam ich całe kilometry, zwłaszcza rosyjskich.

Cały ten okres uważam za chybiony i chętnie przeszłabym teraz ośmioletni kurs nauki w jakiej doskonałej polskiej szkole średniej.

Zofja Nałkowska

Ze skwapliwością odpowiadam na ankietę „Wiadomości Literackich", jest już tak bowiem, że wszyscy lubią wspominać swoje lata szkolne.

Uważam nawet ten temat — towarzysko rzecz biorąc — za szczególnie niebezpieczny. Z tych mianowicie, które sprawiają, że każdy chce mówić, a nikt słuchać. Naprawdę bowiem zajmujące są tylko nasze wspomnienia szkolne.

Drugą cechą tego tematu jest, że każdemu zapewnia nieco zadowolenia z siebie. Przyczem zarówno fakt, że się było uczniem celującym, jak to, że się było najgorszym, — jest tytułem do chluby. Nawet lepiej jest być uczniem złym i urwisem — nie wiem, czemu.

Najlepiej jednak niewątpliwie dla tych celów jest być uczniem leniwym i zdolnym, który nigdy nie zajrzał do książki, a zawsze lekcję umiał.

Nic takiego mi się nie zdarzyło. A oto moje odpowiedzi.

1. Miło mi wyznać, że uczyłam się dobrze i skończyłam jako pierwsza uczennica. Ale nad niektóremi przedmiotami musiałam naprawdę pracować. Najtrudniejsza była dla mnie algebra.

2. Naturalnie literatura. Ponieważ jednak do lat trzynastu uczyłam się w domu, na wsi, więc zainteresowanie to zaznaczyło się już przed szkołą.

Tylko we wczesnem dzieciństwie każdą gazetę nazywałam „geografją", uważając zresztą za naturalne, żeby w domu było książek więcej, niż czegokolwiek innego. Później te książki, pełne właśnie geografji, nie interesowały mnie wcale. Wynalazłam sobie jakoś między niemi literaturę Brandesa, historję filozofji Falckenberga, a także Taine'a, Renana, Garborga, Hamsuna, Villiers de l'Isle Adama, Maeterlincka i Verlaine'a. Wykształcenie domowe dało mi też, poza zwykłemi przedmiotami, poznać wszystkie arkana gimnastyki i wyższej ślizgawki.

Tak uzbrojona, poszłam na pensję wprost na drugie półrocze piątej klasy — i to już jako autorka. Pierwszy mój wiersz bowiem wydrukowałam w „Przeglądzie Tygodniowym" mając lat dwanaście.

Nierówna a efektowna moja wiedza zgotowała mi w szkole wiele triumfów i nieco rozczarowań, zwłaszcza w dziedzinie różnych gramatyk.

3. Niestety, szkolna nauka literatury nie pociągała mnie zupełnie — wyjąwszy oryginalne, pełne dygresyj wykłady prof W., który pod memi ćwiczeniami pisał: „najlepsze w klasie". Nie lubiłam starych tragedyj i poematów, niezgrabnych poezyj, patetycznych powieści. Boże, czytać Garczyńskiego, kiedy można czytać Heredię! Myślałam sobie nieraz, że powinni nas uczyć literatury współczesnej, o tyle bardziej zajmującej, a starą możemy sobie czytać później. I dziś uważam, że gust do rzeczy dojrzałych, archaicznych, do wszelkiej patyny i piękności wiecznych przychodzi dopiero z wiekiem. Nie tylko Racine i Bossuet, ale nawet Mickiewicz i Byron wydawali mi się zbyt prości. A np. „Oda do młodości" ze swoją hydrą i samolubami była dla mnie wprost okropna.

Tak, nie lubiłam wtedy rzeczy prostych i oczywistych. Moja młoda ciekawość poszukiwała za wszelką cenę trudności. Mój intelekt musiał koniecznie brać przeszkody, a przewracać się na równem. Byłam też bardzo zarozumiała. W przeświadczeniu o swych wartościach, traktowałam otoczenie z wyższością pobłażliwą i lekceważyłam jego sądy.

Dopiero późniejsze życie pouczyło mnie o wdzięku i przywilejach skromności. Ono też pozwoliło mi odkryć całe głębiny mądrości w prawdach najpospolitszych i zupełnie wytartych od użytku.

Tadeusz Zieliński

1. W młodszych klasach nieźle, w średnich źle (wskutek długiej choroby i śmierci ojca, która zostawiła dzieci w zupełnej nędzy), w starszych znowu dobrze, kiedy mogłem zarabiać lekcjami prywatnemi. Najwięcej kłopotów miałem z wypracowaniami w językach niemieckim i rosyjskim (uczyłem się w gimnazjum niemieckiem w Petersburgu) wskutek bardzo niezgrabnego wysłowienia. Natomiast żadnej trudności nie sprawiały mi języki starożytne, szczególnie w klasach starszych, gdzie mieliśmy wybornego nauczyciela.

2. Z jednej strony — chemją, dla której mogłem sobie urządzić maleńką pracownię; z drugiej (ale dopiero w starszych klasach)—językami klasycznemi i literaturą klasyczną. Pierwszym autorem, którego szczerze polubiłem, był Salustjusz. Z wielkim zapałem czytałem także Platona, rozumiejąc go jednak bardzo niedoskonale.

3. Literaturę ojczystą mogłem kultywować tylko w dzieciństwie, póki żył ojciec (największe wrażenie wtenczas na mnie zrobiły „Sobótki" Goszczyńskiego i „Legendy" Hołowińskiego); ale i potem zawsze czytywałem z miłością naszych trzech wieszczów, szczególnie Mickiewicza. W poezji zachodniej wolałem dramat (Szekspira, Szyllera) niż lirykę, w tej zaś lirykę objektywną (balladę — wpływ Mickiewicza) niż subjektywną. W romansie mojem bożyszczem był W. Hugo („Les misérables"). Z literatury rosyjskiej lubiłem najwięcej Gogola bajki ukraińskie i poematy romantyczne Puszkina i Lermontowa.

Bruno Winawer

Wiem, że to wstyd, ale trudno: byłem zawsze jednym z najlepszych uczniów w szkole średniej. Zgłupiałem dopiero znacznie później, dzięki pracy literackiej. W owych odległych czasach interesowały mnie szachy, podróże do bieguna, zagadnienia matematyczne. Fizyka, nawet w tej śmiesznej, skażonej formie, w jakiej się przedostała do podręczników, zajmowała mnie bardzo. I dziś jeszcze nie rozumiem, dlaczego ludzie głowią się nad krzyżówkami, rebusami, tworzą kluby szaradzistów, a piękne, dowcipne prace dawnych matematyków i geometrów uważają za piłę drewnianą. Zmorą natomiast moich lat gimnazjalnych były daty historyczne i szacowna chronologja. Bardzo jestem wdzięczny Einsteinowi, że podważył nieco pojęcie czasu, bo i teraz nie wiem, czy 930 to tylko mój numer telefonu, czy też jeszcze jakaś chwila przełomowa w dziejach.

Prawdopodobnie też lata szkolne wpoiły we mnie nienawiść do krytyków i historyków literatury. Kto właściwie oddał arcydzieła piśmiennictwa na pastwę belfrom? dlaczego zmuszamy pacholęta nasze do ćwiczeń literacńich? dlaczego kształcimy młodzież — za pomocą „rozbiorów", „charakterystyk" i innych bredni — w tępym snobizmie? Te to „wypracowania" sprawiły, że wolałbym raczej kamienie tłuc, niż o książkach pisać.

Czytałem na ławie szkolnej dużo, a pod tą ławą redagowaliśmy już w siódmej klasie pewno pismo, którego byłem współpracownikiem gorliwym. Zacząłem karjerę — jak wszyscy — od wierszy, i podania rodzinne przechowały pewien mój poemat tej treści:

Stał się wypadek czerwony,
Że ktoś miał trzy ogony.

Spłodziłem ten wiersz, kiedy miałem lat cztery. Odtąd uważam się za ojca Marinettiego i poezji futurystycznej, i żaden utwór r y m o w a n y mi już nie imponuje.

Nie mogę tu przytaczać całkowitego spisu dzieł i pisarzy ulubionych, ale pamiętam, że Cervantesa, Dickensa, Heinego, Poego, Prusa i Dygasińskiego upatrzyłem sobie bardzo wcześnie.

Józef Wittlin

Pozwolę sobie odpowiedzieć łącznie na wszystkie trzy pytania ankiety.

Jako „student gimnazjalny" c. k. gimnazjum VII we Lwowie przeżyłem przez 9 (dziewięć!) lat trzy okresy. Klasa pierwsza i druga — to okres beznadziejnego sztubactwa, mazgajstwa i obgryzywania paznokci. Pod presją ambicji ojcowskiej byłem uczniem celującym, lecz tylko w pierwszej klasie. Nauczyłem się bowiem w tym czasie od kolegów — kochać urodę marki „Niassy" i „Costariki" i cenić ją wyżej od stopni celujących. Oczywiście dla słowa pisanego, pozbawionego ilustracyj, miałem głęboko utajoną, niemniej jednak szczerą i świętą pogardę.

W okresie drugim — od klasy drugiej — szóstej (1) byłem już rzetelnie i otwarcie złym uczniem, a przechodziłem do wyższych regjonów jedynie z pomocą całego sztabu korepetytorów - akademików (bez szpady i zielonego fraka). Grzeszna namiętność do footballu (byłem członkiem I Lwowskiego Klubu Piłki Nożnej), ślizgawki i lekkiej atletyki (wziąłem raz w „biegu juniorów" trzecią nagrodę) nagle ustąpiła miejsca papierosom, obowiązkowej melancholji, której symbolem była długa, czarna peleryna, i... najplatoniczniejszej miłości. I oto jest źródło dramatów, eposów i liryk („Psyche", „Otchłanie", „Miraże"), które — zebrane w kilkadziesiąt grubych kajetów — dały różnym piecom — już w klasie siódmej — spory dorobek „pism zbiorowych Józefa Wittlina". W szóstej klasie (1) zacząłem korespondować ze słynnym poetą niemieckim Ryszardem Dehmelem i wkrótce otrzymałem od niego prawo przekładu wszystkich jego poezyj. Adam Zagórski wydrukował w „Kurjerze Lwowskim" jeden taki przekład... i oto początek katastrofy. Miarka się przebrała w r. 1912, kiedy naród obchodził rocznicę Krasińskiego. Napisałem na tę uroczystość — prolog okolicznościowy, który wygłoszono publicznie, a skutek tych sukcesów był taki, że w życiu mojem były dwie szóste klasy. Szósta (1) i szósta (2). „Repetent"!

Trzeci okres był już spokojny. Przestałem pisać wiersze i dramaty, zacząłem interesować się językami i literaturą nowożytną. Matematyki i fizyki ani w ząb nie rozumiałem i na koniec klasy siódmej dostałem t. zw. „poprawkę" z fizyki. Wtem wybuchła wojna. Zaciągnąłem się do drużyn Sokoła, które wchodziły w skład Legjonu Wschodniego. I oto pewnego sierpniowego poranku wkroczyłem do mego gimnazjum, celem złożenia egzaminu poprawczego, uzbrojony w karabin Werndla i bagnet. Tylko tej okoliczności chyba zawdzięczam, że zdałem fizykę w przeciągu kilku minut, doznawsz ze strony dziwnie miękkiej „komisji" wiele dowodów respektu i przyjaźni.

Maturę zdałem w rok później w Wiedniu — z odznaczeniem! Jest to dla mnie zagadka. Nie umiałem nawet rozwiązać zwykłego równania o jednej niewiadomej. Prawdopodobnie zaszczyt ten spotkał mnie i dlatego, że z języka ojczystego odpowiedziałem interesująco na pytanie „Twórczość Jana Kasprowicza". Twórczość ta (takie jest moje głębokie przekonanie) była tak obca areopagowi sędziów mojej dojrzałości, jak obca była, jest i będzie cała matematyka mnie, Józefowi Wittlinowi.

Władysław Witwicki

1. W szkole średniej uczyłem się naogół łatwo i chętnie; rzeczy zajmujących przez ciekawość, nudnych — z poczucia obowiązku, niczego chyba dla ambicji. Najgorsze stopnie miewałem z matematyki, ledwie że dobre z greki, najlepsze z nauk przyrodniczych, rysunków, religji, łaciny, polskiego, historji, logiki i psychologji. Raz jeden tylko trafiło mi się być t. zw. celującym uczniem w klasie trzeciej. We wszystkich innych szkodził mi stopień z matematyki: dostateczny, mimo najszczerszych usiłowań. Miałem zawsze dużo lekcyj prywatnych — mało czasu mogłem poświęcać na naukę własną.

2. Specjalnie zajmowały mnie obrazy i obrazki wszelkiego rodzaju i gatunku, życie zwierząt, „grzechy" własne i cudze oraz nawracanie niewiernych i wątpiących. Pobudki czynów i zachowań się ludzkich interesowały mnie tak bardzo, że na własną rękę zacząłem sobie na tem polu odkrywać i ustalać pewne zasady, nie przeczuwając nawet, że dawno zostały odkryte i ustalone. Szczytem marzeń moich było wtedy zostać malarzem i rzeźbiarzem. Dużo pracowałem w tym kierunku i w tej myśli.

3. Wychowałem się na „trzech wieszczach" i Sienkiewiczu. Zdawało mi się, że z pośród „trzech" Mickiewicz najmniej pozuje i najwięcej prawdy mówi. Z niego też najwięcej uczyłem się na pamięć. Serdeczny i trwały stosunek nawiązałem w klasie ósmej z Horacym i Platonem.

Pisać wierszy nie próbowałem nigdy; wydawało mi się, że ci, którzy to robią, udają coś i coś bezwstydnie pokazują przed drugimi czy przed sobą. Nie miałem też żadnych ambicyj ani aspiracyj pisarskich.

IV
KAPLA
SZKOŁA WARSZAWSKA
SPRZEDAŻ KA 30 TEL 22504
REKLAMA ARTYSTYCZNA
PLAKATY AKCJE DYPLOMY ETYKIETY
WYKWINTNE PAPIERY LISTOWE I FIRMOWE
PROSPEKTY ZAPROSZENIA ETC.
PROJEKTY DEKORACJI WNĘTRZ
WYSTAWY SKLEPOWYCH
REPREZENTACJA LIT. ART. W. GŁOWCZEWSKI
SZYCIE
KOSZTORYSY NA ŻĄDANIE

Józef Wittlin

Żywy Assyż

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Assyż, na jesieni 1925.

I. Terra mistica.

Są miasta we Włoszech, starosławne siedliska dzieł bożych i ludzkich, pełne milczącego i hałaśliwego piękna, które można ująć w słowa. Można wyrazić słowami zatruty urok cuchnącej i pięknej grzesznicy Wenecji; sprawne pióro z łatwością opisze dostojne, marmurowe zwłoki Romy, po których bezwstydnie jeżdżą zwycięskie w raidach kwadrygi marki „Alfa - Roneo" i „Fiat" i odorem benzyny zabijają woń rozkładającej się przeszłości. Można opisać ludzkim językiem kamienną dumę kolorowych fasad Florencji: radosnych przybytków duchowego smutku i ponurych fortec cielesnej uciechy. Ale dużego trudu potrzeba, aby opisać ciche miasto Assyż, którego fundamenty, pamiętające jeszcze czasy rzymskiej kolonji, są nie tylko z kamienia. Twarde korzenie Assyżu

WIDOK ASSYŻU Z DOLINY UMBRYJSKIEJ

tkwią głęboko w tej zielonej ziemi umbryjskiej, ale soki swe ciągną z czerwonej krwi człowieczej, najbardziej człowieczej. Miasto Assyż, na stoku góry Subasio zawieszone nad morzem winnic i oliwek, — zbudowane zostało na sercu świętego Franciszka. To też oczom podróżnika, zaledwie tylko przybywa do Assyżu, czy to od strony bezbożnego w swej pogańskiej okazałości Rzymu, czy od strony Fra Angelica, znaczy się — Florencji, czy też od strony morza Adrjatyckiego, — natychmiast ukazują się trzej budowniczowie tego miasta: Bóg, święty Franciszek i ludzki kunszt. I nie oczom jedynie. Wszystkie bowiem zmysły, dzięki nadzwyczajnej, niebywałej wprost w świecie jednolitości typu przyrody, religji i sztuki, natychmiast opanowywa owo mistyczne zestrojenie się koloru murów z kolorem góry i zielenią doliny, natychmiast ujarzmia ta harmonja, jaka zachodzi między surowością architektury XII i XIII w. a łagodnym pejzażem. Jesteś odurzony zapachem mięty, cyprysu i oliwki, i zdaje ci się, że to jest woń samej Pani Biedy, która wszystkie wieczory przepaja tutaj sobą, na pamiątkę swych zaślubin z synem bogatego handlarza sukien, Franciszkiem Bernardone. Ciągle jeszcze o zmroku usłyszysz, jak się w rozgrzanem powietrzu roztkliwia skwir ptaków, co były błogosławione; i lubo już dawno ustały tłumne sobory rozmarzonej, różnopiórnej konfraterji, to jednak owe szare i brunatne „piccioni", jak wówczas tak i dzisiaj, siadają wieczorem u stóp sześciu kolumn świątyni Minerwy na Piazza, aby tym samym głosem pogwarzyć sobie o dziennych sprawach, którym owego dnia pamiętnego roztrząsały między sobą ważniejsze ustępy z braterskiego kazania.

Tak się tu wszystko łączy ze sobą: i to co się widzi, i to co się słyszy, i to co się czuje, — dzięki temu, że Assyż stoi dziś prawie w tej samej postaci, w jakiej go średnie wieki porzuciły na pastwę losu. To też nie dziw, że potężny Kościół Santa Maria degli Angeli, barokowy, wybudowany w r. 1569, chociaż leży w dolinie, o dwa kilometry za miastem, nie łączy się ani fizycznie, ani duchowo z Assyżem. Przechowuje on wprawdzie tak cenne i ważne pamiątki, jak Porziuncola, oraz celę, w której umarł święty Franciszek, wprawdzie tuż u jego boku znajduje się ów mistyczny ogród z różami, cudem pozbawionemi kolców, — to jednak robi wrażenie intruza w nieswoim świecie. Obce jest temu kościołowi wszystko, co jest rasą Assyżu; jego okrągła, baniasta, jak gdyby pychą wydęta kopuła nazbyt zwielokrotniłaby niedyskretnem echem — pokorne szepty wyznań, tak pieczołowicie chronionych przez gotyckie lub romańskie nawy świętego Franciszka, świętej Klary, świętego Rufina, świętego Damiana, a posyłanych do Boga długiemi, czworokątnemi kominami prostych wież, płasko ściętych na szczycie. Więc słusznie należy się miejsce kościołowi Santa Maria degli Angeli — „fuori le mura", tuż obok dworca kolejowego.

Żyje Assyż swojem własnem, zawsze tem samem życiem, tak bardzo odmiennem od życia sąsiedniej Peruggji. Codziennie samochody czterech hoteli zwożą przez Porta San Francesco podróżnych z całego świata, którzy tam w dole zostawiają cały swój uciążliwy bagaż światowych zmartwień i rozkoszy, a na górę jadą wolni i cisi. Niema w Assyżu ani policjanta, ani kinematografu, ani więzienia. Jest jedna kawiarnia, kilku pachołków gminnych, otwierających za napiwkiem płytę na rynku i obnażających schody, któremi wstępuje się oglądać ruiny starorzymskiego trybunału. Miasto liczy dziś przeszło dziesięć tysięcy mieszkańców. Żyją oni głównie z eksploatowania tradycji franciszkańskiej: na majolikowych talerzach wyobrażają umiejętnie cud w Gubbio lub dziergają piękne „punta d'Assisi", na których święta Klara wyczyniona jest robotą krzyżykową. Żyją tutaj plantatorzy oliwek, tych drzew biblijnych, mających przeszło trzysta lat, no — i oczywiście wincerze Banki, sklepy, trattorje, apteki służą przede wszystkiem gościom.

A z gośćmi bywa tak: albo przyjeżdżają z Baedekerem, który im zaleca dawkę: pół dnia pobytu, albo przyjeżdżają bez Baedekera, lub raczej mimo niego, i zostają dłużej. Baedekerowcy i pielgrzymi, których i tutaj przywiodła nadzieja indulgencji w Anno Santo, nie spędzają w Assyżu dłużej ponad jeden dzień. Jadą dalej, obejrzawszy freski Giotta i Cimabuego i pomodliwszy się u grobu świętego Franciszka i świętej Klary.

Ci jednak, którzy zostają tutaj dłużej, są to ludzie naogół bardzo sympatyczni, w krótkim czasie czują się w Assyżu zadomowieni i mają jakąś jawną lub ukrytą przyczynę, dla której tutaj siedzą. Przyczyna może być tylko jedna, i łatwo ją odgadnąć. Siedzi się tutaj dla świętego Franciszka i — dla wszelakich zdobyczy, związanych z tą postacią. Przyjeżdżają więc do Assyżu na dłuższy pobyt: katolicy znudzeni płochością wielkomiejskich jarmarków, pragnący odświeżyć, odżywić — zamierającą wiarę, pielgrzymują tutaj ludzie o sercach zbolałych w poszukiwaniu ukojenia, które znajdują zawsze, nade wszystko zaś zjeżdżają się uczeni, poeci i artyści, którzy pragną oddać swoje rzemiosło w służbę zbliżającej się siedemsetnej rocznicy śmierci wielkiego świętego — poety. Z Ameryki, północnej i południowej, z Afryki, z Azji, z wszystkich krajów północnej, południowej i środkowej Europy pełno adoratorów miał w tym roku święty Franciszek. W hotelu „Subasio", w którym mieszkałem, jest księga, gdzie znajdują się podpisy gości w narzeczach indyjskich, w piśmie japońskiem i arabskiem. Są to oczywiście pięknoduchy i bogaci poszukiwacze osobliwości.

Pokaźna rzesza pracowników naukowych i artystycznych, przez to, że pracuje w tym samym temacie, jakkolwiek na różny sposób i w różnych językach, wytworzyła tutaj niezwykłe czystą i miłą atmosferę wspólnoty interesów moralnych, a ta wspólna adoracja, która nas tutaj sprowadziła z wszystkich stron świata, udziela się nawet hotelowi, w którym mieszkamy, i nie jest obca dorożkarzom i służbie. Cały współczesny Assyż dostosował tętno swego życia do tego, co nas tutaj sprowadziło, t. zn. do kultu świętości, które tu się poczęły, tutaj umarły i tutaj nadal żyją.

Możemy więc poruszać się swobodnie, pracować jawnie, nie w ukryciu: — nikt nas nie wyśmieje w Assyżu, że pracujemy nad chwałą świętego Franciszka i świętej Klary, bo każdy tubylec zna na pamięć to, co nas zachwyca, i wie, czego szukamy. W tych warunkach czyni to ciche, wysokie miasto wrażenie jakiegoś sanatorjum, w którem leczą się chorzy na tę samą chorobę. Rzeczy, o których się tutaj nie mówi, rzeczy samo przez się zrozumiałe, są tak podniosłe i powszechne, jak zażywanie lekarstw w szpitalu lub sprawa ratunku w wspólnej opresji. Na to, co tutaj jest najważniejsze, nie trzeba słów, zasadnicze sprawy kultu i zachwytu — nie ulegają żadnej kwestji, tutaj ludzie porozumiewają się niejako podskórnie, że się tak wyrażę — na duchowe migi dają sobie znać o już doznanem lub jeszcze niedoznanem olśnieniu. Rankiem wychodzi się z hotelu na połów, a wraca się wieczorem do obiadu wzbogaconym o jeden szczegół historyczny więcej, o jeden argument sercowy więcej, o jedną wizję więcej. Nasz sąsiad łatwo zgadnie, z czem wracamy. Rzeczy, o których tutaj się mówi (w różnych językach, najczęściej w angielskim), gdzieindziej, choćby w Rzymie np., są już nie do pomyślenia. W miastach, gdzie życie jest bardziej różnorodne, gdzie życie ma wiele stron, gdzie ścierają się jego nurty, jak najbardziej sprzeczne, — trzeba obwarować się zastrzeżeniami, zasadami, trzeba ustawicznie legitymować się intelektualnie. W Assyżu to, co nazywamy ogólnie „życiem", ma tylko jedną stronę dla podróżnego, ale i stali mieszkańcy — jak to już raz powiedziałem — poddają się temu. W Assyżu ośmiela się człowiek, żyjąc realnie nierealnością cudów, któremi przesiąknięta jest ta ziemia, po której chodzi, i płótna i ściany, które z zachwytem ogląda. Stajemy się po pewnym czasie skłonni do wyznań wobec bliźniego, a wyznania te są z rodzaju najgłębszych, najistotniejszych. Przepada gdzieś ów fałszywy wstyd, który nam zabrania mówić do drugiego poprostu i szczerze, ów wstyd wykształconej burżuazji. Możemy więc śmiało zwrócić się do nieznajomego sąsiada przy stole z zapytaniem takiem np.: „Jakie dziś oświetlenie było w dolnej bazylice, czy widział pan już „Apoteozę" w prezbiterjum?", tak jak na plaży morskiej wolno zapytać nieznajomego o to, czy woda dziś ciepła.

KATEDRA ŚW. RUFINA W ASSYŻU

To wytwarza ogromnie szczere, uduchowione powietrze, ożywia średniowieczne mury, przepełnia zaufaniem do człowieka, zwierzęcia i rośliny. Te osiołki, które ciągną kolorowe wózki na szosie, miałbyś ochotę też zagadnąć o to, co ci serce rozpycha. W takim pejzażu, w takiem otoczeniu szczęścia, które dać może tylko religijne uniesienie, jakże się dziwić pochwale wszystkiego stworzenia, wyśpiewanej ustami umierającego ojca seraficznego?

W tych zaprawdę czarujących warunkach może i śmierć wydać się siostrą.

Dopiero w Assyżu zrozumiałem, co starożytni mieli na myśli, mówiąc: genius loci.

II. Ludzie i spotkania.

Do jednego z najmilszych wspomnień pobytu w Assyżu zaliczam dzień, w którym miałem zaszczyt poznać naszego znakomitego rodaka, Artura Górskiego. Rozmowy, któremi mnie zaszczycił podczas spacerów po krętych vicoli starego miasta i po ruinach twierdzy, należą do najcenniejszych zdobyczy osobistych mojej podróży. Rzadka w dzisiejszych czasach piękność umysłu i serdeczność tego wzniosłego człowieka i pisarza wystąpiła na tle Assyżu w tak szlachetnych zarysach, że przypadkowe to spotkanie ma dla mnie znaczenie wypadku, o jakich dawniej często marzyli młodzi, niespokojni, niedoświadczeni poeci. Dużo pięknych wspomnień zawdzięczam również miłemu Francuzowi, p. Janowi Coissac, profesorowi kolegjum muzułmańskiego w Rabacie (Marokko), oraz cudnemu entuzjazmowi panny de Vimont, w których towarzystwie zwiedzałem niepowtórzone w świecie — piękności w Montefalco i Foligno. Na wysokości Assyżu i w dolinie umbryjskiej tak łatwo dotrzeć do głębi serc ludzi przybyłych zdaleka, tak doskonale poznać można urodę skomplikowanej nadbudowy umysłów, wychowywanych w odległem środowisku!

Rozrzedzone powietrze tych ziem mistycznych niweluje w nas wszelkie szyderstwo, wszelki przesąd, przyniesiony niewiadomo skąd, zabiera wszelką nieufność, którą tak skwapliwie wszczepia w nas fałszywa kultura umiarkowanej strefy. Rodzime, zatwardziałe intelektualizmy cudownie tają pod gorącym promieniem śródziemnomorskiego słońca, tego samego słońca, którego chwałę śpiewał Poverello! Podmuchy, idące od morza, doskonale zwiewają z naszych dusz ponure barbaryzmy, pokrywające nienaską, wrogą warstwą kurzu — najszlachetniejsze nasze pokłady.

Trudniejszą, zaiste, pracą, od odskrobywania zatartych fresków w kruchtach kościelnych — jest odkruszanie wrogich pokostów z serc ludzkich!

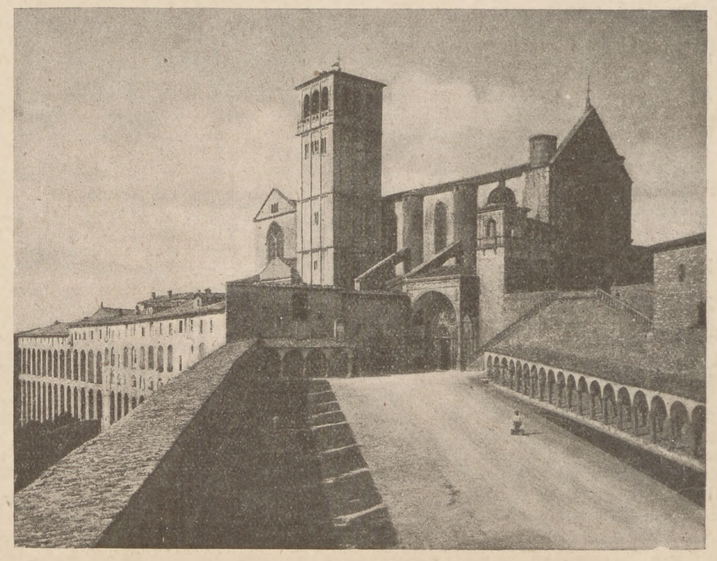

PODWÓRZEC PRZED KLASZTOREM ŚW. FRANCISZKA

III. Freski, płótna, pieski i koty.

Chyba dla nikogo we Włoszech nie jest tajemnicą, że poezja w języku włoskim („nella lingua volgare") świętemu Franciszkowi zawdzięcza swój rozkwit w XIII i XIV w., podobnie jak malarstwo. Ten „najświętszy ze wszystkich Włochów i najbardziej włoski ze wszystkich świętych", jak go tu nazywają, będzie w r. 1926 uczczony oficjalnie przez rząd włoski jako bohater narodowy. Mają nawet wydać specjalne znaczki pocztowe z wizerunkiem Biedaczyny. Osobliwy zapach ma religijne malarstwo szkoły umbryjskiej, nagromadzone po kościołach, klasztorach i pinakotekach miasteczek, rozłożonych na górach, obramowujących dolinę umbryjską. Nigdzieindziej w północnych i środkowych Włoszech nie spotkałem tak bezpośredniego stosunku do spraw bożych. Może u jednego tylko Beata Angelica z Fiesole — w „Museo San Marco" we Florencji — zmuszony byłem przypomnieć sobie, to, co czułem w Umbrji. To jest owa cierpka słodycz i słodka gorycz, którą przesycona jest cała ta ziemia. Soave austera della Umbria verde.

Kłamie Perugino, nauczyciel Rafaela, kłamie w Peruggji i w Montefalco i w Rzymie. On nie wierzył w świętość, którą tak świetnie malował. Jego Madonny przewracają oczami, a jego święci zachowują się jak aktorzy. Ale prawdę mówił zawsze pokorny Benozzo Gozzoli, po Gioccie drugi piewca legendy franciszkańskiej, prawdę mówił Montefalkończyk Melazio. Oni wierzyli w miracula, wierzyli linjami i kolorami, których tajemnicę zabrali ze sobą do grobu. Wiara — nieoficjalna, nienarzucona — była dla nich prywatną koniecznością serca, i oni to, a nie Vanucci, zwany Peruginem, nadali szkole umbryjskiej jej charakter.

Na tych ziemiach mistycznych zlewają się granice wiary z granicami sztuki, treść dzieła sztuki staje się jego formą, a pokora chrześcijańska bez reszty mieści się w pokorze artysty wobec swego rzemiosła.

Odurzające ozonem powietrze tej ziemi każe zapomnieć w Assyżu o tem, że tu urodził się wielki elegik rzymski Propercjusz. Tak bardzo pamięć jego przykryta została ubogim habitem mnicha, założyciela franciszkańskiej reguły.

Ten habit nie jest ponury. W połach tego habitu gnieżdżą się rozjazgotane ptaszki. Wersety „Kantyczki słonecznej" czytamy z każdego kamienia. Dzieci i koty i pieski uganiające się przed portalem wielkiej bazyliki — oto prawdziwi spadkobiercy poematu życia świętego Franciszka.

Kiedy już mowa o pieskach, przypominam sobie pieska naczelnika stacji, pana capo stazione z Canegliano, o którym tak pięknie i słusznie pisał kiedyś na tem miejscu — Jarosław Iwaszkiewicz. Powiem Ci więcej, Jarosławie: widziałem i bawiłem się z cudnemi pieskami nie tylko przed bazyliką świętego Franciszka, na wolnem, balsamicznemi zapachami nasyconem powietrzu wieczornem. Odnalazłem pieska, jak leżał ze skulonemi łapami i podwiniętym ogonem — w najbliższem sąsiedztwie Męki Pańskiej.

Któż inny, jak nie święty Franciszek z Assyżu, pozwolił malarzom wsadzać pieski na freski opiewające najboleśniejsze ekstazy? Jemu to, Biedaczynie, zawdzięczają pobożni malarze XIII w., że mogli pakować do najświętszych scen, które w skupieniu pendzlem wyobrażali na ścianach kaplic, najdroższe sercom stworzenia: i ludzi bliskich i zwierzęta i rodzinne miasta. Wspaniałą wolnością obdarzyła artystów śpiewająca dusza świętego Franciszka — i rozpętały się kunszty ich w radosnej orgji postaciowania wszystkich „naszych dziennych spraw" w pobliżu świętości.

O, jakże ta swoboda korciła takiego Mezastri, aby malować obok „Adoracji magów" całą swoją oborę!... Komu się należała wdzięczność za to skojarzenie doczesnego podwórkowego życia z nieśmiertelnem życiem Pańskiej Śmierci?

Jako żywo, w kościele San Fortunato w Montefalco, na fresku, którego autora nie pamiętam, leżał pod Krzyżem Golgoty — mały, biały kotek...

Oto jest żywy Assyż, żywszy od naszej współczesności, bo szczerszy w wyrazie uczuć swoich i intensywniejszy.

Wychodzi tu pismo, od dwóch już lat, p. n. „Frate Francesco". Redaguje je komitet religijny w związku z rocznicą. Redaktorem literackim jest wielki uczony, Duńczyk Johannes Joergensen, autor świetnej monografji o świętym Franciszku Dwumiesięcznik ten ogłasza publikacje, tyczące się kultury franciszkańskiej, w języku włoskim, francuskim i hiszpańskim. Jest w Assyżu stara bibljoteka, obecnie miejska, w której znajduje się komplet tego, co o świętym Franciszku napisano we wszystkich językach — z wyjątkiem polskiego...

Skrucha w Assyżu

Tyle, tyle pieniędzy
Zebrać musiałem na podróż do sanktuarjów nędzy!

Tu, seraficzny śpiewaku, — każdy wyznaje Cię kamień;
Twardsze są serca człowiecze, więc na kamienie je zamień!

Bogacze z całego świata, znudzone lordy i ladies
Jadą sleepingiem — całować ręce Twej siostry Biedy.

Na sercu obok szkaplerza — bezpieczny jest portfel z czekiem!
Święty Franciszku z Assyżu, Tyś przecie też był człowiekiem!

Do Twych bazylik wnosimy serca płonące od wiary,
W banku „di Spirito Sancto" zmieniamy nasze dolary.

W hotelu, tuż obok krypty kościoła, gdzie ciało Twe leży,
Na srebrnych tacach wspaniałe lody podają kelnerzy.

O, słodsza łez Twych ochłoda, smaczniejszy chleb Twej jałmużny,
W sytości dziś uwielbiamy Twój brzuch, co zawsze był próżny.

Za to, żeś krwią Swego serca pożywił ptasią naturę,
Dla nas dziś kucharz morduje najmilszą siostrę Twą: kurę.

Próżność obnosim w wytwornych ubiorach z najdroższych włókien
Tam, gdzie Ty nagi chodziłeś, o, synu handlarza sukien.

Wciąż, jak te wilki drapieżne, czyhamy na bliźnych zgubę
Tam, gdzieś Ty zawarł przymierze ze srogim wilkiem z Gubbio.

O, dobrotliwy patronie wszystkich, co biorą po gębie,
Ucisz już serca człowiecze, jakoś uciszył gołębie!

Ręką krwawiącą, co boskim przeszyta była stygmatem,
Uczyń mir wiekuisty pomiędzy nami a światem.

Wielkie premjum dla abonentów „Wiadomości"

Zwrot 40% wpłaconej prenumeraty w postaci książek

Pragnąc uprzystępnić swoim czytelnikom szereg wybitnych książek doby ostatniej z różnych dziedzin literatury i nauki, redakcja „Wiadomości Literackich" każdemu abonentowi, który w ciągu stycznia b. r. opłaci prenumeratę roczną,

ofiarowuje do wyboru zupełnie bezpłatnie książek za zł. 10.40,

a każdemu prenumeratorowi, który opłaci prenumeratę półroczną —

za zł. 5.20,

podług poniższego spisu, zawierającego ceny katalogowe. Ponieważ roczna prenumerata wynosi zł. 26.—, a półroczna — zł. 13.—, premjum „Wiadomości Literackich" stanowi zwrot 40% prenumeraty. Ewentualną różnicę pomiędzy wartością premjum a wartością żądanych książek należy dołączyć w znaczkach pocztowych. Przesyłka odbywa się na koszt redakcji.

Spis książek:

STANISŁAW BUKOWIECKI. Polityka Polski niepodległej. Zł. 4.50.
JAN DĄBROWSKI. Względy i urzędy. Zł. 1.20.
WŁODZIMIERZ DZWONKOWSKI. Słowiańszczyzna pierwotna. Zł. 3.—.
JULJAN EJSMOND. Miłość wieczna. Zł. 1.20.
ZOFJA DASZYŃSKA-GOLIŃSKA. Praca. Zł. 6.—.
E. T. A. HOFFMANN, przekład **Zofji Modrzewskiej.** Tajemnicze dziecko. Zł. 1.50.
I. K. ILŁAKOWICZ. Śmierć Feniksa. Zł. 1.—.
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Dionizje. Zł. 1.60.
ZYGMUNT KARSKI. Musujący poranek. Zł. 1.—.
JAN LECHOŃ. Karmazynowy poemat. Zł. 1.60.
JAN LECHOŃ. Srebrne i czarne. Zł. 4.—.
ERAZM MAJEWSKI. Kapitał. Zł. 2.50.
ERAZM MAJEWSKI. Teorja człowieka i cywilizacji. Zł. 3.20.
FELIKS MŁYNARSKI. Walka o naprawę skarbu. Zł. 3.—.
BRONISŁAWA OSTROWSKA. Gwiazdka polskiego dziecka. Zł. 1.—.
JÓZEF PIŁSUDSKI. O wartości żołnierza legjonów. Zł. 1.50.
JÓZEF PIŁSUDSKI. Rok 1863. Zł. 1.20.
JÓZEF PIŁSUDSKI. Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu. Zł. 1.50.
JÓZEF PIŁSUDSKI i MILES. Naczelni wodzowie. Zł. 2.50.
JAN ARTUR RIMBAUD, przekład **Jarosława Iwaszkiewicza i Juljana Tuwima.** Poezje. Zł. 2.—.
G. B. SHAW, przekład **Bronisławy Neufeldówny.** Cezar i Kleopatra. Zł. 2.—.
ANTONI SŁONIMSKI. Droga na Wschód. Zł. 1.—.
JERZY SOSNKOWSKI. Dom filozofów. Zł. 4.—.
WŁADYSŁAW STUDNICKI. Zarys państw bałtyckich. Zł. 8.—.
KAZIMIERZ TYMIENIECKI. Procesy twórcze formowania się społeczeństwa polskiego. Zł. 4.—.
JÓZEF WASOWSKI. Ludzie nikczemni. Zł. 1.—.
MAKSYMILJAN WERONICZ. Polityka zagraniczna Sowietów. Zł. 1.—.
WALT WHITMAN, przekład **Stanisława Vincenza.** Trzy poematy. Zł. 1.40.
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI. Pamiętnik miłości. Zł. 6.—.
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI. Wielka Niedźwiedzica. Zł. 2.60.
OSKAR WILDE, przekład **Wacława Rogowicza.** Tragedja florencka. Zł. 2.—.

NOWOŚĆ!

ELIZA ORZESZKOWA

DZIURDZIOWIE

CHAM

WYDANIE DRUGIE
(Pisma, t. IV)

CENA ZŁ. 5.—

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

NOWOŚĆ!

EDWARD WALEWSKI

WIWLASY

Sonety o filomatach

zł. 1.50

Nakład
Ludwika Chomińskiego w Wilnie

Literatura mieszczańska

Karol Badecki. Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku. Monografja bibljograficzna z słowem wstępnem **Aleksandra Brücknera** i 200 podobiznami w tekście. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1925; str. XXXVIIII i 2nl. i 543 i 1nl.

Przyjęła się powszechnie w świecie naukowym opinja, że jedynymi pionierami ruchu literackiego w dawnej Polsce byli poeci i pisarze pochodzeniem swem związani bądź z stanem duchownym, bądź szlacheckim. O współpracy i zasługach stanu mieszczańskiego w ogólnym rozwoju twórczej myśli polskiej uczeni nasi albo zapomnieli zupełnie, albo przygodne tylko i naogół bardzo niewystarczające poczynili wzmianki. A jednak systematyczne i gruntowne badania wykazały, że i mieszczaństwo dawne, pod egidą najwyżej kulturalnie stojącego krakowskiego patrycjatu, zabierało głos donośny w dziejach piśmiennictwa staropolskiego. Po nielicznych i nieśmiałych występach w w. XVI wzbudził się w Krakowie i na Podgórzu w stuleciu XVII nowy duch literacki, który ostatnio doczekał się sumiennego historyka w osobie wicedyrektora archiwum m. Lwowa, dr. Karola Badeckiego, znanego historyka literatury, bibljografa, krytycznego wydawcy tekstów staropolskich, a zarazem źródłowego badacza przeszłości Lwowa i zapobiegliwego inwentaryzatora zabytków naszej przeszłości. Uczony ten, po długich latach gruntownych poszukiwań bibljotecznych i po głębokich studjach nad dziejami piśmiennictwa naszego w stuleciu XVII, dał nauce polskiej dzieło poważne i ogromem włożonej w nie pracy i owocem nadspodziewanych rezultatów naukowych.

Między nowościami ostatnich miesięcy „Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku" staje w rzędzie najpoważniejszych wydawnictw. Publikacją swą przypomniał nam autor znakomite usługi piśmiennictwu naszemu oddające dzieła pierwszych historyków literatury polskiej, t. j. Bentkowskiego, Wiszniewskiego, Maciejowskiego i innych. Zasłużone wydawnictwo Zakładu Narodowego im Ossolińskich, kierowane umiejętną ręką prof. Stanisława Łempickiego i dyr. Alfreda Tęczarowskiego, włączeniem monografji dr. Badeckiego w poczet swych nakładów złożyło pomnikowy dowód idealnie pojętych potrzeb nauki polskiej. „Literatura mieszczańska", przyodziana we wspaniałą szatę typograficzną i bogato ilustrowana doskonałemi podobiznami starych druków, będzie na zawsze wzorem dla pokrewnych tematem opracowań naukowych i przykładem, jak dzieła tego rodzaju należy utrwalać drukiem.

I dobrze się stało, że zbadaniem dziejów piśmiennictwa mieszczańskiego w Polsce XVII w. zajął się archiwarjusz miejski, w tym wypadku lwowski, boć temat ten łączy się ściśle z historją i kulturą miast naszych. Suche i realizmem życiowym naogół przesiąknięte źródłowe zapiski naszych prastarych ksiąg i dokumentów miejskich znajdują w dziełach współczesnej literatury mieszczańskiej barwami tęczy koloryzujące tło duchowych potrzeb różnych sfer dawnego mieszczaństwa.

Jakież specyficzne znamiona pozwoliły autorowi wyodrębnić mieszczańską produkcję umysłową z całokształtu piśmiennictwa naszego? Czy znani nam są autorowie tych dzieł, i co złożyło się na treść tworów ich ducha?

Pod względem autorstwa zabytki literatury mieszczańskiej są dziełami bądź nazwanych bądź nienazwanych poetów i pisarzy. Z nazwisk rzeczywistych wymienić należy przedewszystkiem P. Barykę, twórę pierwszej komedji polskiej; przy nim stają: Jan Łopeski, doskonały znawca ówczesnych stosunków szkolnych, Jakób Łącznowolski, przenikliwy satyryk płci pięknej i utalentowany poeta, papiernik i mieszczanin krakowski, Adam Władysławjusz. Inni autorowie, z obawy przed krytyką duchowieństwa a głównie szlachty, nie mieli odwagi wystąpić jawnie z dziełami swej twórczości i dlatego zasłonili się kryptonimami.

Największa ilość dzieł literatury mieszczańskiej pojawiła się w druku bądź zupełnie anonimowo, bądź pod pseudonimami sowizdrzalskiej kuźni, jak: Dzwonowski Jan — generał pilziński (podpisujący się „pede propria"), Habspert Nikiel — minister ferbi dei, Jan z Kijan, Jan z Wychylówki, Krzywogębski Adrjan, Moczygębski Tymoteusz, Niebyliński de Niedopytanów, Niewieściński Jeremian (pan na Świekotowie i Plotkowicach), Radopatrzek Gładkotwarski z Lekarzewic, Sowirzalius vel Sowizralius Januarius, wreszcie Trzyprztycki albo Trztyprztycki Maurycjusz.

Wszyscy ci, nazwani czy nienazwani, literaci, pochodzeniem swem związani ze stanem mieszczańskim, w dziełach swych opiewają dolę i niedolę tych warstw społeczeństwa, z których wyszli. To też krytyka naukowa, w ślad za definicją prof. Brücknera, najlepszego znawcy piśmiennictwa XVII w., ochrzciła całkowity dorobek literacki tych autorów nazwą „literatury mieszczańskiej".

KAROL BADECKI

Z ex-bakałarzy, żaków, klechów, kantorów i rybałtów wychowani poeci i pisarze, w sposób rodzimy, z panującego wszechwładnie „klasycyzmu" wyzwolony, opowiedzieli nam barwnie w dziełkach swych wszystko to, czego doświadczyli w służbie szkolnej i gminnej, w rzemiośle i cechach, w karczmie, na jarmarku, czy odpuście. O rozgłos niedbali autorowie wydrwiwali w pismach swych dosadnie, tak jak umieli, szlachtę, mieszczan, chłopów, Żydów, innowierców, kobiety, nawet siebie samych; odsłonili nieporządki miejskie, nadużycia po wsiach, nędzę ludu, upośledzony byt nauczycielstwa i inne wady współczesne.

Literatura mieszczańska XVII w. treścią swą i tendencją jest wzmożoną produkcją zapoczątkowanych w XVI w. wydawnictw ludowych. Bezpośredniemi zwiastunami nowego ruchu publicystycznego są typowo mieszczańskie i na przełomie XVI i XVII w. w Krakowie pojawiające się dialogi rybałtowskie. W intermedjach tych drzemią początki naszej rodzimej sztuki komedjopisarskiej. Po nich wysypały oficyny krakowskie całą masę gotyckich broszur najróżnorodniejszej treści obyczajowej i najrozmaitszej formy literackiej. Zaroiło się od fraszek i anegdot (poetycznych i prozaicznych) najdowcipniejszych, od dialogów i intermedjów wprost z życia wziętych, od satyr i pamfletów antyreformatorskich najzjadliwszych, od pieśni erotycznych i padwanów najromantyczniejszych.

Za pośrednictwem wędrownych księgarzy wyglądem niepokaźne, ale zawartością drogocenne książeczki dostawały się do innych miast i miasteczek Polski, gdzie dla swej rodzimej, aktualnej treści znalazły życzliwe przyjęcie; a we Lwowie, Warszawie, Wilnie i Toruniu wywołały nowych literatów mieszczańskiego rodu. Z kramów jarmarcznych rozchwytywali dziełka te różni gorliwi czytelnicy. Literatura ta szerzyła się wśród łaknących sensacji klechów, wędrowała po warsztatach i domach mieszczańskich, krążyła między służbą dworską, folwarczną, a nawet docierała do komnat szlachcica. Od rąk różnych czytelników zatłuszczone, pomięte lub podarte, przez nożyce i inkaust ascetów zdekompletowane egzemplarze, jedne zniszczały zupełnie, stając się introligatorską makulaturą bądź serwetkami brzytew, drugie— szczęśliwsze — skrzyły się w publicznych bibljotekach krajowych lub zagranicznych i w niedostępnych księgozbiorach prywatnych bibljofilów. W. XVII przykrył ów literacki dorobek ubiegłego stulecia mgłą zapomnienia, i dopiero historycy kultury, Wójcicki, Maciejewski i Kraszewski, w połowie XIX w. przypomnieli znaczenie literackiej puścizny klas mieszczańskich dla dziejów obyczajów; w czasach naszych prof. Brückner nawoływał nieustannie do wskrzeszenia niedocenionych skarbów rodzimej poezji, najwierniejszych źródeł kultury narodowej, dialektowych materjałów językowych, sumarjuszy, kolend, pieśni, wierzeń i zabobonów ludowych.

Wydobycie na światło dzienne tych zapomnianych i arcyrzadkich, bo w unikatach lub w kilku zaledwie egzemplarzach zachowanych, zabytków piśmiennictwa ludowego jest pierwszorzędną zasługą autora monumentalnej publikacji Dr. Badecki przedsięwziął pracę niełatwą, wymagającą nie tylko doskonałego znawstwa piśmiennictwa danej epoki, ale także pedantycznej ścisłości i cierpliwości bez granic. Musiał on rozpocząć badania od wyczerpującej inwentaryzacji imiennych i anonimowych tytułów broszur i druków ulotnych, wydanych przeważnie bez wskazania miejsca i roku druku. Musiał poddać krytycznej rewizji niedokładne informacje najdawniejszych bibljografów i historyków literatury. Musiał przebić się przez bogatą literaturę przedmiotu i zebrać z niej wszystkie wiadomości o poszczególnych utworach. Musiał wreszcie lata długie poszukiwać oryginałów dzieł, a po odszukaniu —poddać je wszechstronnej analizie naukowej.

Sumienny badacz przezwyciężył jednak wszystkie te trudności i w monografji swej zgromadził z 36 bibljotek polskich, rosyjskich, szwedzkich, niemieckich i z wielu księgozbiorów prywatnych ogółem 182 pierwodruków różnych dzieł literatury mieszczańskiej XVII w. Ale monografję dr. Badeckiego uważać możemy nie tyle za sumienny inwentarz odszukanych zabytków literackich minionego wieku, ile raczej za kolekcję 182 metodycznie opracowanych rozpraw naukowych na temat autorstwa, genezy, oryginalności i wzajemnej typograficznej czy tekstowej zależności różnych dzieł literatury mieszczańskiej. Autor uzupełnił rezultaty swych badań historycznym przeglądem dotychczasowych sądów, w przedmowie zamieścił trafną charakterystykę całości, przy końcu zaś, po interesujących notach i pracowicie ułożonej tabeli chronologicznej, zamknął całe dzieło szczegółowym indeksem nazwisk autorskich i alfabetycznym spisem tytułów dzieł anonimowych.

Artur Schroeder.

ŻYCIE TEATRU

jedyny polski tygodnik poświęcony kulturze teatralnej

rozpoczyna czwarty rok wydawnictwa

Pismo to, ukazujące się pod redakcją Wiktora Brumera, ogłosiło szereg prac wybitnych teatrologów, pisarzy dramatycznych, krytyków, reżyserów i aktorów.

Prenumerata kwartalna zł. 5.—, roczna — zł. 18.— wraz z przesyłką, konto czekowe P. K. O. w Warszawie 7 799.

Adres redakcji i administracji: Emilji Plater 33 m. 5, tel. 112-11. W administracji są do nabycia roczniki z 1925 r. w cenie zł. 15.—

ToTo

TYGODNIOWY MAGAZYN ILUSTROWANY

POD REDAKCJĄ

JULJANA TUWIMA

TREŚĆ nr. 6

Głodomory i „wszystkojady" — Podróże międzyplanetarne — Widma przeszłości — X pawilon przed 45 laty — Dyliżans pocztowy — Samobójstwo u zwierząt — Manje i dziwactwa — Gospodarstwo wielkiej damy — Para rękawiczek — Gruzy pomnika niewoli — Gabinet osobliwości — Skradzione bakcyle — Kartka do teatru — Zarobki pisarzy w dawnych czasach — Fizjognomje stenograficzne — Tajni agenci — Siła owadów — Krzywe zwierciadło — Dokąd warto pójść wieczorem? — Czy wiesz, że... — Opowiadania, nagrodzone na I konkursie „ToTo" — Trochę śmiechu... — Rozrywki — Filatelistyka — Korespondencja

Redaktor i wydawca: Juljan Tuwim. — Redakcja i administracja: Warszawa, Boduena 1 m. 2. tel. 223-04; konto czekowe w P. K. O. nr. 12.222.

Prenumerata z przesyłką pocztową w stosunku zł. 8 kwartalnie; numer pojedyńczy grooszy 80. — Ogłoszenia: za wiersz milimetrowy jednoszpaltowy za tekstem groszy 50. w tekście groszy 80.

NOWOŚĆ!

PIOTR CHOYNOWSKI

POKUSA

(B. U. L. i M. S. — 233)

CENA ZŁ. —.35

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

NOWOŚĆ!

ANNA SŁOŃCZYŃSKA

MUZYKA SŁOŃCA

BOZE GNIAZDO

2 tomy poezyj

zł. 6.—

Nakład
Ludwika Chomińskiego w Wilnie

Maleńka Dorrit

Bibljoteka „Iskier" pod redakcją **Władysława Kopczewskiego. Karol Dickens.** Maleńka Dorrit. Powieść w opracowaniu **Cecylji Niewiadomskiej.** Lwów, Książnica-Atlas, 1925; str. 4nl. i 262 i 2nl.

Z dzieciństwa pamiętam drzeworyt,
Który przedstawiał wiernie
Ubogi zaułek, cukiernię,
Pana Pancks i maleńką Dorrit.

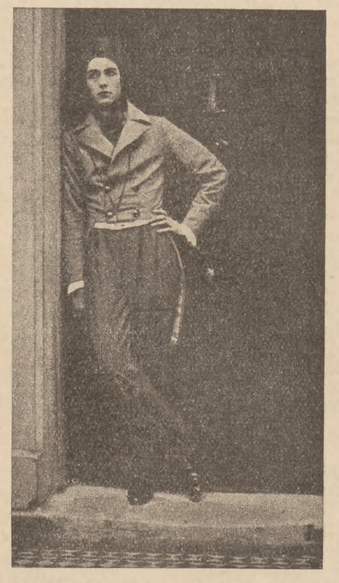

KAROL DICKENS

I stary ponury budynek,
Który się w gruzy obrócił;
Zimny, wygasły kominek,
W ten dzień, kiedy Artur powrócił.

Białe jedwabne trzewiczki,
Złej, lekkomyślnej Fanny;
Śniegiem pokryte uliczki,
Świt blady i dzień zatroskany.

Maleńką Dorrit na mrozie,
W więzieniu, śpiącą pod płotem,
Liczącą gwiazdy, — i potem
Przy boku ojca w powozie,

Gdy przyszły lata łaskawsze,
Gdy miała już więcej pieniędzy, —
W dostatku smutniejszą, niż w nędzy,
Malutką, stroskaną zawsze.

Źle jest omijać niedolę.
Gdy za dużo krzywd się gromadzi,
Przychodzą ludzie gniewni, bladzi,
I krew pokazują na czole!

Antoni Słonimski.

KAŻDY CZYTELNIK
WIADOMOŚCI LITERACKICH
musi być prenumeratorem
ILUSTROWANEJ ENCYKLOPEDJI TRZASKI, EVERTA I MICHALSKIEGO
gdyż jest to jedyne źródło wszelkiego rodzaju informacyj o kwestjach literackich i artystycznych od najdawniejszych do najnowszych czasów

W ilustrowanej encyklopedji Trzaski, Everta i Michalskiego

opracowano literaturę i sztukę wszystkich narodów, zebrano materjał biograficzny, dotyczący najwybitniejszych twórców, podano w szeregu ilustracyj głośne dzieła sztuki i architektury obok wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy

Cena bogato ilustrowanego zeszytu wynosi w prenumeracie zł. **4.—**

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE
Księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego
SP. AKC.
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 13
Tel. 184-00 Konto P. K. O 464
oraz
kioski Tow. Księgarni kolejowych „RUCH" i wszystkie większe księgarnie

Poezje Jana Brzękowskiego

W najbliższych dniach w nakładzie „Zwrotnicy" ukaże się tom poezyj Jana Brzękowskiego p. t. „Tętno". Ze zbioru tego wyjmujemy dwa wiersze.

Alain Gerbault.

Morze się wzdyma jak błękitna blacha,
Przybita słabo do sinej płaskości,
A biały żagiel, jak gołąb na dachu,
Rozwija skrzydła w trzepoczący pościg.

Już noc drapieżna biła twardą falą,
Wisząc nad kutrem jak żałobny żagiel,
Opada na dół, jak przedarty balon,
I rozpościera swoich skrzydeł flagę.

Fale się burzą — burzą kołysane,
W żagiel uderza wściekły wicher sztormu,
Przestały śpiewać w fokżaglu mussony,
Pokład zmydlają białe pianą szturmy.

Z wód noc rozpina najtwardszą godzinę,
Co zgina maszty jak wyniosłe drzewa.
Alain Gerbault przez Atlantyk płynie,
Stoi u steru i samotny śpiewa!

JAN BRZĘKOWSKI

Pancernik.

Wśród czarnych dymów splątanych
w spirale,
Obok bulwarów i portowych doków
Płynie nasz statek, jak balon na falach,
W błękitną przestrzeń morza i obłoków.

Przybite do dna złym hakiem kotwicy
Stoją na fale olbrzymie okręty,
Ładowne sumą handlowych obliczeń.
Bogactw odległych krajów ciążą wzdęte.

Z hukiem syreny, skręcanych lin świstem,
Z słabym łomotem obracanej śruby,
Pchani motoru wydechem ognistym,
Płyniemy naprzód w morza jedwab gruby.

Nagle syrena wyjąca bez końca
Milknie i ciszą polskie morze wita,
Na którem stoi, jak nóż lśniący w słońcu,
Pierwszy pancernik Rzeczypospolitej.

Konkurs „Wiadomości Literackich"

Przypominamy, że dn. 24 stycznia b. r. upływa termin nadsyłania odpowiedzi na nowy konkurs „Wiadomości Literackich" (znajomości poezji polskiej), którego warunki były ogłoszone w poprzednim numerze naszego pisma. Lista nagród przedstawia się jak następuje.

I: zł. 200.—

II: „Kolędy" z ilustracjami **Zofji Stryjeńskiej,** zł. 30.— (Jan Burian).

III: „Wiedza o sztuce" **Eligjusza Niewiadomskiego,** wydanie na papierze kredowym, zł. 25.— (Trzaska, Evert i Michalski).

IV: „Powieść o Walgierzu Udałym" **Stefana Żeromskiego,** z ilustracjami **Zygmunta Kamińskiego,** zł. 20.— (Jakób Mortkowicz).

V: „Wisła" **Stefana Żeromskiego,** z ilustracjami **Zygmunta Kamińskiego,** zł. 20.— (Jakób Mortkowicz).

VI: **Stanisław Morawski:** „Kilka lat młodości mojej w Wilnie", zł. 20.— („Bibljoteka Polska")

VII: Komplet „Skamandra" za r. 1925, zł. 18.—,

VIII: Komplet „Skamandra" za r. 1925, zł. 18.—.

IX: „Nieznany cykl Artura Grottgera" **Mieczysława Tretera,** zł. 16.— („Książnica - Atlas").

X: „Pięć studjów o Łazienkach Stanisława Augusta" **Władysława Tatarkiewicza,** zł. 16.— („Książnica-Atlas").

XI: „Brewerje" **Boya - Żeleńskiego** i „Wenus i Amor" **Ferdynanda Hoesicka,** zł. 15.60 (F. Hoesick).

XII: „Polscy artyści i ich dzieła" **Marji Gerson - Dąbrowskiej,** zł. 14.— (Gebethner i Wolff).

XIII: „Lirycy francuscy" pod redakcją **Leopolda Staffa,** zł. 12.50 („Bibljoteka Polska").

XIV: „Hellenizm Juljusza Słowackiego" **Tadeusza Sinki,** zł. 11.20 (Bibljoteka Polska").

XV: „Srebrne i czarne" **Jana Lechonia** i „Pamiętnik miłości" **Kazimierza Wierzyńskiego,** zł. 10.— (E. Wende i S-ka).

XVI: „Przez płonący Wschód" **Ferdynanda Goetla,** zł. 10.— (Gebethner i Wolff).

XVII: „Wiek oświecenia" **Konstantego Wojciechowskiego,** zł. 10.— („Ossolineum").

XVIII: „Moi współcześni" **Stanisława Przybyszewskiego,** zł. 9.80 (Bibljoteka Polska").

XIX: „Myśli wybrane z pism Sienkiewicza" **Władysława Kucharskiego,** zł. 5.40 („Ossolineum").

XX: „Don Juan Tenorio" **José Zorrilli,** przekład **Stanisława Miłaszewskiego,** zł. 5.— (Gebethner i Wolff).

Wszystkie nagrody książkowe zostały łaskawie ofiarowane przez odnośne firmy wydawnicze, za co redakcja „Wiadomości Literackich" pozwala sobie złożyć im serdeczne podziękowanie.

Notatki

Nowa powieść Durtaina.

Ostatnia powieść Luca Durtain p. t. „Ma Kimbell" jest rzeczą — zarówno w pomyśle jak w technice (mimo rozmyślnie starodawne tytułowanie poszczególnych rozdziałów) — nowoczesną; przyczem pisarz bynajmniej nie wysila się w tym kierunku i wypowiada się w sposób naturalny. Temat (dość nikły) — to ucieczka od miłości... na motocyklu („Kimbell" — to właśnie marka owej maszyny) i powrót do tejże miłości — na tymże motocyklu. Podczas pięciodniowej eskapady, której etapy opowiedziane są w formie dziennika, bohater zrazu cieszy się niejako brutalnie swą swobodą, potem ulega serdecznemu nawrotowi ku tej, którą porzucił, lecz się jej wyrzec nie chce i nie może, i pędzi na swej maszynie do pełnej prostoty i ufności dziewczyny, czekającej go w prowincjonalnym zakątku. Drugim — obok tej dyskretnie odmalowanej miłości — elementem powieści jest ów motocykl, o którym Durtain pisze z niezmierną lubością, wtajemniczając nas we wszystkie szczegóły jego maszynerji i w perypetje współżycia z tym żelaznym wiernym wierzchowcem. Maszyna jego ożywiona jest nader udatnie. To samo da się powiedzieć o przyrodzie. Sosunek do niej pędzącego (po doskonałych francuskich szosach!) poety-motocyklisty jest sympatyczny i przekonywający. Natura żyje w jego notatkach i przemawia wyrazi-ście i plastycznie. Niema tam, dzięki Bogu, owych tak już nieznośnych „opisów z obowiązku", lecz pełno zato zwięzłych a żywych obrazków migających w pędzie rozgrzanego motoru. Styl — jak zawsze u D[illegible] daleki od jakiejkolwiek banalności (o czem mieliśmy już sposobność wspomnieć na tem miejscu przed rokiem, pisząc o „La source rouge"), obfitujący w szczęśliwe skróty, przenośnie i porównania.

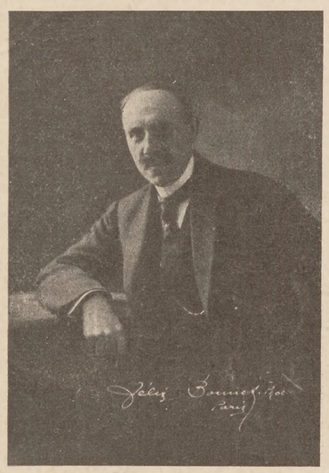

LUC DURTAIN

*

— Ukazała się książka Valentina Piccoli, autora dzieł krytycznych o Leopardim i d'Annunzio, p. t. „Le notti novecentesche" (Medjolan, księgarnia Treves). „Noce w. XIX" miały być w zamierzeniu autora, w myśl tradycji nocy attyckich Aulia Gellia i nocy rzymskich Aleksandra Verdi, ubraną w formę fantastyczną satyrą na życie intelektualne ludzi nowoczesnych. Myśliciele starożytni i bogowie greccy wypowiadają swoje uwagi o życiu Włoch współczesnych i dziwią się, że wielkie ideały przez nich objawione zostały obecnie zapomniane, że pogoń za pieniędzmi i pogoń za poklaskiem tłumu zastąpiła wzniosłe hasła w sztuce i miłości. Może to i prawda, ale z pod pióra autora wyszła książka moralizatorska i przeraźliwie nudna.

— „La Niskaja mi chiede una danza" („Niskaja prosi mnie o taniec") — oto tytuł nowej komedji Rossa di San Secondo, która ma być wystawiona jeszcze w sezonie bieżącym. Rosso di San Secondo napisał tę komedję dla pewnej tancerki rosyjskiej.

— Interesujący proces o plagjat literacki został wytoczony w Belgradzie poecie Pandurovićowi. Pandurović opublikował nowy przekład „Hamleta" swego pióra. Okazało się, że tłumacz wziął 2000 wierszy z dawnego tłumaczenia „Hamleta", dokonanego przez Stefanovića. Stefanović wytoczył proces. W rezultacie Pandurovića skazano na 50 dni więzienia i 300 denarów grzywny.

— Ukazało się życie miłosne Ryszarda Wagnera" przez Ludwika Barthou, autora podobnej książki o Wiktorze Hugo.

— Rada muzeum narodowych Francji powzięła na wielce **burzliwem posiedzeniu** postanowienie zakupienia do Luwru obrazu Henryka Rousseau. Jest to krok rewolucyjny, gdyż użycza oficjalnej sankcji twórczości jednego z tych artystów, którzy do niedawna przez urzędową krytykę uważani byli za naiwnych partaczy, a którzy są bez wątpienia natchnionymi inicjatorami współczesnego malarstwa. — Warto porównać z tem postępowanie naszej zaśniedziałej Zachęty, stale popierającej wygodną miernotę.

— W Deauville chciano sprzedać za 100.000 franków łóżko, na którem miał umrzeć Napoleon,—rzekomo pochodzące z pamiątek po generale Montholon. Ale nie znaleziono amatora, może także dlatego, że „ostatnich" łóżek Napoleona istnieje już podobno... trzy czy cztery.

— Pewna autorka angielska ogłosiła w Londynie powieść na tle inwazji bolszewickiej w Gruzji. Wydawca amerykański zgodził się nabyć książkę pod warunkiem pozwolenia na zaopatrzenie jej w... autentyczne fotografje z Kaukazu. Autorka, nie chcąc czynić ze swojej książki Baedekera, korzystną propozycję odrzuciła.

Polska zagranicą

Studja Lo Gatto.

Bawiący obecnie w Warszawie prof. uniwersytetu rzymskiego Lo Gatto, wydał książkę zatytułowaną „Studi di letteratura slave". W książce tej są dwa rozdziały, które nas szczególnie interesują. Pierwszy — to „Mickiewicz i Puszkin", studjum historyczno-literackie. Drugi o Reymoncie i „Chłopach".

Analizując twórczość dwóch poetów słowiańskich, włoski uczony korzystał z prac Tretiaka, Spasowicza i Lednickiego, ale nie bezkrytycznie. Prof. Lo Gatto, przeczytawszy studja polskich i rosyjskich uczonych o Mickiewiczu i Puszkinie, ich wzajemnym stosunku i oddziaływaniu, usiłuje dać korektę pewnej stronności sądów przedstawicieli obu narodów. Np. zestawiając opinję Tretiaka i Briusowa o Puszkinie i jego poglądach na monarchję, usymbolizowaną w pomniku Piotra Wielkiego, — wykazuje, w czem jeden i drugi krytyk miał rację, w czem się pomylił. I stąd pochodzi niezaprzeczona wartość jego książki, z której korzystać powinni i będą w obu krajach historycy literatury, badający tę epokę.

ETTORE LO GATTO

Reymontowi poświęca prof. Lo Gatto obszerny rozdział swej ciekawej książki i znów posługuje się pracami krytycznemi Potockiego, Zaleskiego, Siedleckiego i Pollaka, ale dodaje indywidualne swoje poglądy i osobistą ocenę talentu twórcy „Chłopów". Podkreśla, że „Chłopi" są epopeą synów ziemi, że Reymont całą Polskę chciał zaludnić tym elementem, gdy organizację przemysłową uważał za Molocha, który degeneruje pierwotną, zdrową rasę ludzi przyziemnych. Lo Gatto kończy takiemi pochwalnemi słowami na cześć polskiego artysty: „W uczczeniu energji ludzkiej, objawiającej się w codziennej pracy, leży źródło epicznego talentu i prawdziwie homeryckiego patosu Reymonta".

W ostatnim rozdziale, mówiąc o przekładach Puszkina, Lo Gatto raz jeszcze zajmuje się Polską, konstatując, iż najlepsze są tłumaczenia Belmonta, jedyne, które z wszystkich przekładów całego świata oddają wiernie ducha oryginału i polot poetycki autora.

Prof. Lo Gatto bawi w Warszawie dla studjów nad Kasprowiczem, któremu chce poświęcić większą pracę. Witamy go serdecznie i cieszymy się, że ten sumienny badacz literatury i wybitny uczony zapozna swój naród z dziełem natchnionego poety polskiego.

*

— Jaskrawej ilustracji zupełnie nikłego zainteresowania się literaturą polską na uniwersytetach niemieckich dostarcza program wykładów z zakresu historji literatury, jakie w przeciągu semestru zimowego są na nich wygłaszane. Szczegółowy spis tych wykładów ogłosił w ostatnich zeszytach miesięcznik „Die Literatur". Otóż z 32 uczelni wyższych w Niemczech, Austrji i Szwajcarji z językiem wykładowym niemieckim tylko uniwersytet w Hamburgu zdobył się na kurs najnowszej historji literatury polskiej (prof. Reybekiel).

— Tytuł angielski sztuki Żeromskiego „Uciekła mi przepióreczka" brzmi „Breaking the Spell". Ukaże się ona w książkowem wydaniu jednocześnie z „Hamletem" Wyspiańskiego (obie rzeczy w przekładzie Florjana Sobieniowskiego, który otrzymał niedawno autoryzację na tłumaczenie utworów scenicznych Eugenjusza O'Neilla i Zuzanny Glaspell). Premjera „Przepióreczki" ma odbyć się w czasie najbliższym.

— „Times" londyński pomieszcza recenzję przekładu „Zimy" Reymonta. Sprawozdawca „Timesa" zwraca uwagę na piękność opisu świąt Bożego Narodzenia.

— „Chłopów" Reymonta przełożył na język japoński Asadori Koto, ale cenzura japońska dokonała konfiskaty tłumaczenia utworu, uznanego za niemoralny.

— Pismo włoskie „Le Opere e i Giorni" w numerze listopadowym daje obszerną recenzję z październikowego numeru „Skamandra". Z okazji sonetów p. t. „Przypomnienie" Iwaszkiewicz jest nazwany jednym z najwybitniejszych współczesnych liryków polskich. „Le Opere e i Giorni" omawiają także z wielkiemi pochwałami tłumaczenie „Dobosza ognistego", dokonane przez Edwarda Boyégo.

— W ostatnich numerach czasopisma włoskiego „Europa Orientale" Palmieri umieszcza uwagi o Pomorzu, a ksiądz Giannini „o konkordacie z Watykanem".

Wł. St. Reymont do „Wiadomości Literackich"

Szanowny Panie.

Za przesyłane mi „Wiadomości Literackie" serdecznie dziękuję, ale że wyjeżdżam na całe lato i pragnąłbym je czytywać w dalszym ciągu, proszę zatem o łaskawe polecenie przesyłania ich pod adresem poniżej podanym. „Wiadomości" stały mi się tak potrzebne, że nie umiałbm się bez nich obejść. Mówię otwarcie i szczerze życzę Sz. Panu powodzenia w tem wydawnictwie. Łączę słowa poważania.

Wł. St. Reymont.

1.VI. 1924.

Szanowny Panie.

Na śmierć zapomniałem o tem, że miałem teraz coś napisać dla „Wiadomości". Jeżeli mówiłem Sz. Panu o temacie, to proszę mi go przypomnieć. Zdaje mi się, że jakaś „Legenda". Ale dobrze nie pamiętam. W każdym razie nie zdążyłbym już na 23 stycznia. Napiszę jednak z pewnością i pod koniec kwartału będzie Pan miał rękopis. Dziękuję za przysyłanie mi „Wiadomości". W mojem monotonnem i surowem życiu, jakie tutaj pędzę, z przymusu doktorów, stanowi czytanie ich przemiłe i upragnione urozmaicenie. Bardzo ciekawy jestem zapowiedzianego numeru lutowego. Mam jedną tutejszą fotografję, robioną przez szwedzkiego korespondenta, tę załączam, może się na coś przyda.

Cóż Panu powiem o sobie?

Czuję się nieco lepiej i zwolna zabieram się do roboty. Czy to „lepiej" przemieni się w „dobrze"? Marzę o tem, ale tymczasem prowadzę życie ascetyczne, nic mi nie wolno! Ani, ani, ani! No i muszę słuchać zakazów, bo może w nich zdrowie. Składam prawdziwe egzaminy cierpliwości. Pogodę mamy cudowną i

ze zbiorów Adolfa Nowaczyńskiego

WŁ. ST. REYMONT w r. 1901

dnie letnie. To jedynie godzi mnie z życiem i régimem. Ściskam Sz. Pana serdecznie i ślę Mu słowa szczerej życzliwości.

10.I. 1925. Nica.

Wł. St. Reymont.

Kto będzie pisał o „Legendzie" i „Buncie"?

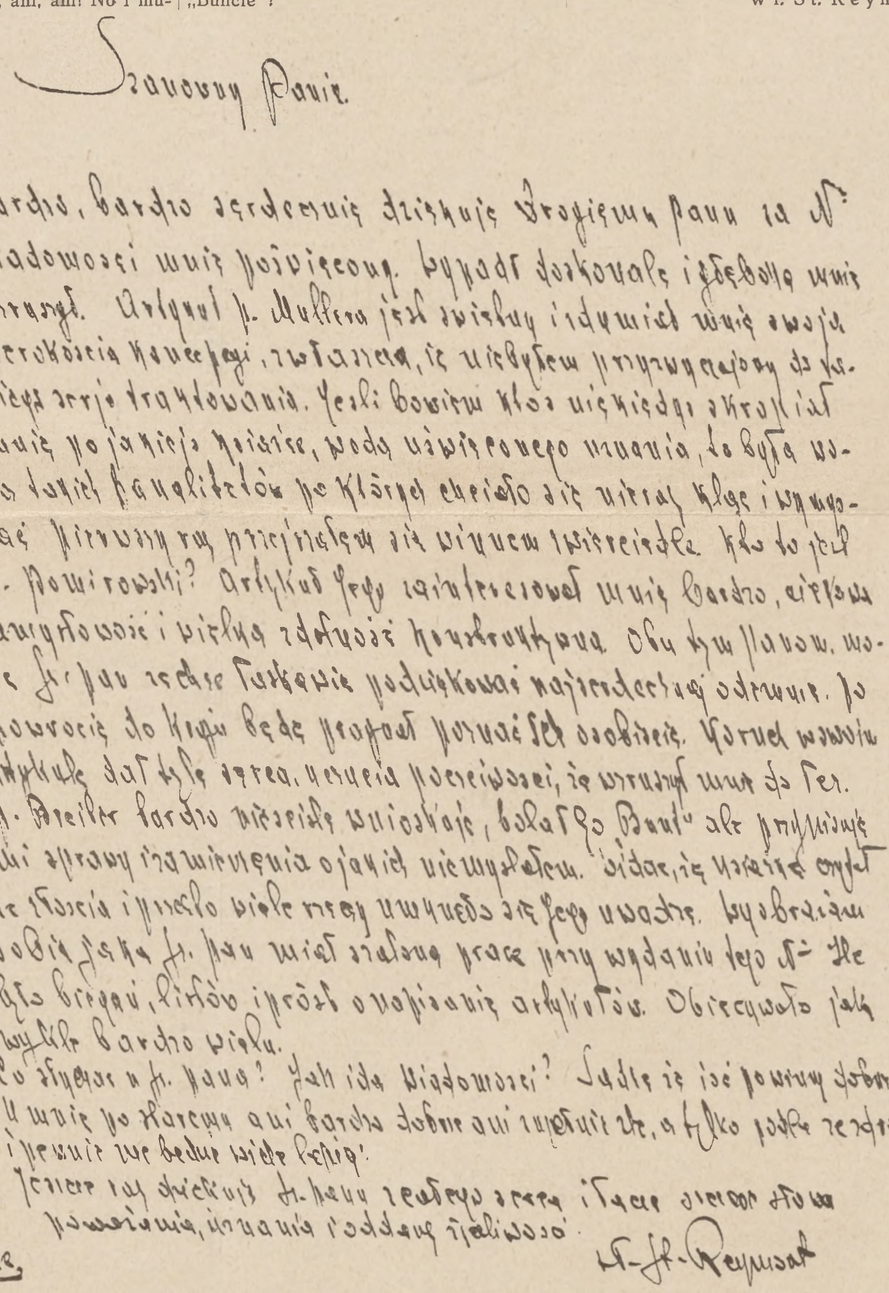

Szanowny Panie.

Bardzo, bardzo dziękuję Drogiemu Panu za numer „Wiadomości", mnie poświęcony. Wyszedł doskonale i głęboko mnie wzruszył. Artykuł p. Millera jest świetny i zdumiał mnie swoją szerokością koncepcji, zwłaszcza że nie byłem przyzwyczajony do takiego serjo traktowania. Jeśli bowiem ktoś niekiedyś skrapiał mnie po jakiejś książce wodą uświęconego uznania, to była woda takich banalitetów, po których chciało się nieraz kląć i wymyślać. Pierwszy raz przejrzałem się w innem zwierciadle. Kto to jest p. Pomirowski? Artykuł Jego zainteresował mnie bardzo, ciekawa umysłowość i wielka zdolność konstruktywna. Obu tym Panom może Sz. Pan zechce łaskawie podziękować najserdeczniej ode mnie. Po powrocie do kraju będę pragnął poznać Ich osobiście. Kornel w swoim artykule dał tyle serca, uczucia, poczciwości, że wzruszył mnie do łez. P. Breiter bardzo nieściśle wnioskuje, bolał go „Bunt", ale przypisuje mi sprawy i zamierzenia, o jakich nie myślałem. Widać, że książkę czytał ze złością, i przeto wiele rzeczy umknęło się Jego uwadze. Wyobrażam sobie, jaką Sz. Pan miał szaloną pracę przy wydaniu tego numeru. Ile było biegań, listów i próśb o napisanie artykułów. Obiecywało jak zwykle bardzo wielu.

Co słychać u Sz. Pana? Jak idą „Wiadomości"? Sądzę, że iść powinny dobrze. U mnie po staremu, ani bardzo dobrze, ani zupełnie źle, a tylko podle ze zdrowiem, i pewnie nie będzie wiele lepiej.

Jeszcze raz dziękuję Sz. Panu z całego serca i łączę szczere słowa poważania, uznania i oddanej życzliwości.

23.II. 1925. Nica.

Wł. St. Reymont.

Nasz setny numer

W numerze poznańskiego „Przeglądu Porannego" z dn. 1 grudnia b. r. znajdujemy artykuł p. t. „Setny numer „Wiadomości Literackich", który przedrukowujemy w całości.

Tak widać losy chciały, że setny numer „Wiadomości Literackich" przyniósł hołd pośmiertny Stefanowi Żeromskiemu, sternikowi polskiej literatury, u którego przed blisko dwoma laty (6 stycznia 1924 r.) szukali młodzi pisarze zachęty do wydawania tygodnika.

Zgon wodza smugą cienia okrywa święto „Wiadomości". Mimo jednak żałoby trzeba podnieść z uznaniem w dniu jubileuszu wartość plonu nagromadzonego przez współpracowników „Wiadomości Literackich", pisma mającego u nas wyjątkowe znaczenie.

Naprzód stało się dla wszystkich niespodzianką, że „Wiadomości Literackie" dosięgły setki numerów i bynajmniej nie mają ochoty upaść.

Przyzwyczailiśmy się do pogrzebów wszelkiego rodzaju i zabarwienia pism literackich, chowanych po kilkutygodniowem życiu, dobre zdrowie i rozrost „Wiadomości" był więc w naszych ciężkich czasach rewelacją... Regularność, z jaką wydawano tygodnik, domaga się osobnego uznania.

Nie mam zamiaru wymieniać wszystkich dobrych pozycyj „Wiadomości Literackich" i unosić się nad poszczególnemi numerami pisma. Ogólne uznanie zyskiwały sobie u czytelników osobne numery, poświęcone Byronowi, Kantowi, Conradowi, Sienkiewiczowi, France'owi, Mickiewiczowi, Reymontowi czy Micińskiemu, — o tem wiemy wszyscy, i nie o tem chcę mówić! Nie w pięknych hołdach, składanych z okazji jubileuszów i odznaczeń, tkwi główna zasługa „Wiadomości Literackich", ale w stałej, wytrwałej, celowej i ważnej propagandzie książki polskiej, jaką rozwinęła redakcja tygodnika. Dzięki „Wiadomościom" ukazanie się dobrej książki stało się nakoniec zdarzeniem ważniejszem od teatralnej premjery i plotek z życia artystów. Uczono czytelników czytać, ostrzegano przed najgorszemi książkami, budzono za pomocą ogłaszania wyjątków z zapowiedzianej książki zaciekawienie; przez konkursy szerzono znajomość dzieł i nazwisk najważniejszych pisarzy; przez wprowadzenie wywiadów zapoznawano z człowiekiem — artystą i jego najbliższemi planami. A druga, równie ważna rzecz — to walka, jaką podejmowały „Wiadomości" np. o byt Kasy im Mianowskiego, w obronie klasycyzmu, wolności artystycznej Teatru im. Bogusławskiego, w imię godności naszej literatury, dobroci przekładów i t. d. Nie zawahano się skoczyć do oczu departamentowi sztuki, napiętnowano głupotę i złą wolę „krytyków" „Przedwiośnia", pozwolono wypowiedzieć się zainteresowanym na temat niezrozumialstwa w literaturze i poddano rewizji poglądy nasze na romantyzm.

Nie obeszło się przytem bez ofiar, czasami niewinnych. „Wiadomości" mają swój styl polemiczny, niezbyt miły dla tych, z którymi polemizują. Walka z J. N. Millerem, Słonimskim czy z M. J. Wielopolską, a nawet z K. Irzykowskim, nie należy ani do łatwych, ani do przyjemnych. Rozgoryczenie wśród poszkodowanych bywało więc czasami ponure i złowrogie, i stąd szła główna niechęć, przesadnie wyolbrzymiana przez pisarzy z przeciwnego stronnictwa, gromadzącego ludzi nieuznawanych słusznie czy też niedocenionych należycie. Pomawia się „Wiadomości" o protegowanie „swoich" pisarzy. Zarzut byłby wtedy groźny, gdyby ci uznawani za „swoich" byli miernotami, a pomijani odznaczali się wybitnym talentem. W rzeczywistości właśnie koło „Wiadomości Literackich", z bardzo małemi wyjątkami, skupili się prawie wszyscy zdolni, a miernoty podniosły okrzyk protestu i wciąż odgrażają się daremnie, że stworzą lepsze pismo i „jedyne". Z radością powitamy wroga „Wiadomości", byle tylko rywal przerósł swego przeciwnika. Z żalem i rozgoryczeniem mówi się również powszechnie o roli Żydów-poetów w redagowaniu „Wiadomości". Jedyna nato rada wynaleźć poetów katolików, którzyby udowodnili przekonywająco, że Tuwim i Słonimski nie mają nic do powiedzenia w literaturze, bo oni ich bez reszty zastąpią. Dla mnie Tuwim i Słonimski przestali być dawno Żydami (jeśli już koniecznie i tę sprawę poruszyć trzeba), bo wrośli w polskość swą świetną twórczością i sami poszli w niewolę języka polskiego. Z innych zarzutów najczęściej powtarza się akt oskarżenia o sympatje bolszewickie, wyssany z żywego zainteresowania się twórczością rosyjską. Może naprawdę traktuje się ją w „Wiadomościach" zanadto serjo i zbyt wielką przypisuje się jej doniosłość. Od zaciekawienia literaturą do przejmowania idej politycznych i społecznych jest jednak bardzo daleko, i o tem nie wiedzą tylko ci, którzy wiedzieć nie chcą i niezaszczytną bronią usiłują zmiażdżyć konkurenta. Oczywiście nie są „Wiadomości" bez winy i grzechu. Głośna była przed rokiem sprawa plagjatu artykułów o literaturze włoskiej, a możnaby jeszcze poza nią wymienić kilka innych grzechów śmiertelnych i powszednich.

To jednak jest rzeczą pewną i to z okazji setnego numeru trzeba wyraźnie powiedzieć, że dotychczasawą d. ałalnością przyczyniły się „Wiadomości Literackie" znacznie do ożywienia współczesnej literatury polskiej i do popularyzacji powszechnej, że rolę swą spełniają coraz lepiej i że dziś stały się już tygodnikiem niezbędnym dla każdego człowieka, żywiej interesującego się literaturą i sztuką.

Stef.

ANKIETA
„WIADOMOŚCI LITERACKICH"
„Jak się uczyli wybitni współcześni pisarze polscy w szkole średniej?"
W następnym numerze odpowiedzi m. in. **Boya - Żeleńskiego, Piotra Choynowskiego, Marji Dąbrowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, Juljusza Kaden - Bandrowskiego, Juljusza Kleinera, Jana Lechonia, Kornela Makuszyńskiego, Juljana Tuwima, Emila Zegadłowicza.**

25% zniżki
DLA PRENUMERATORÓW „WIADOMOŚCI LITERACKICH"
UKAZAŁ SIĘ GWIAZDKOWY (42) ZESZYT „SKAMANDRA"
I ZAWIERA:
*JULJAN TUWIM: Wieczorny wiersz.—JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: Nocleg w górach. — KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: Fanfara na cześć Karola Hoffa, rekordzisty w skoku o tyczce. — JERZY LIEBERT: Ptaszki św. Franciszka. — MIECZYSŁAW JASTRUN: Wola. — LUCJAN SZENWALD: Warszawa. — ANTONI SŁONIMSKI: Pragnienie. — JULJAN BRONOWICZ: Uwagi na marginesie (z powodu „Przedwiośnia" Żeromskiego). — ROMAN KOŁONIECKI: Epopea. — IRENA TUWIM: Uśmiech. — F. T. MARINETTI, przełożył EDWARD BOYÉ: Ognisty dobosz (akt III). — SERGJUSZ JESIENIN, przełożył WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: ***·***·***.*
Okładka TADEUSZA GRONOWSKIEGO
Cena zeszytu zł. 3.—
Prenumerata wraz z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie
Redakcja: Złota 8 m. 5, tel. 132-82
Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, konto w P. K. O. 8.515

„CAMERA OBSCURA" na str. 6

Wielki aktor

Bruksela, w grudniu 1925.

Zapukałem nieśmiało.

— Entrez!

Pośrodku niedużej garderoby teatru „Gálerie St. Hubert" przed lustrem siedział markiz de Priola.

Ten sam, dawny... młody i niepokojący.

— Ach, to pan, — markiz uśmiechnął się przychynie,—istotnie jest pan punktualny; możemy chwilę pogawędzić swobodnie. Cóż pana interesuje?

Milczałem. Myślałem o tej wielkiej metomorfozie, jaką miałem przed sobą, o tej różnicy między mniej więcej sześćdziesięcioletnim gentlemanem o siwych, srebrnych raczej włosach, o wytwornych, arystokratycznych rysach wielkiego pana, widzianym rano w hallu Grand-Hotelu,— a tym legendarnym markizem.

LE BARGY
rysunek Biba

Myślałem o tej wielkiej walce między życiem a sztuką, której jaskrawym wyrazem jest aktor.

— Czy nie mógłby mi pan, panie markizie... (ugryzłem się w język) powiedzieć coś o sobie, o swoim stosunku do sceny, do twórczości dramatycznej, do kinematografu wreszcie?

— Jak pan wie zapewne, grałem przed laty i u was, w Polsce, we Lwowie. Grałem, jak dzisiaj, markiza Priolę. Było to dawno; wiele czasu upłynęło od tej chwili, i wielkie różnice zaszły we mnie samym. Dawniej grałem czy to Cyrana de Bergerac, czy księcia de Guise, czy inną rolę — z werwą, brawurą, prawie z nonszalancją. Myślałem i dbałem tylko o ekspresję zewnętrzną postaci, o timbre głosu, którym szafowałem może zanadto. (Jeszcze dzisiaj głos le Bargy'ego zakasuje z łatwością Moisiego lub Węgrzyna). Cóż pan chce? Byłem ze szkoły Coquelina, byłem młody, byłem wirtuozem, byłem jak ów skrzypek, co dba przedewszystkiem o brylant, osadzony na końcu smyczka. Aktor początkujący zawsze zaczyna od zbytku gestu, nadmiaru póz i hałaśliwości, i — niech mi pan zaufa, — że ja u szczytu swej karjery byłem aktorem początkującym. Dzisiaj, kiedy jestem stary...

— Trudno mi w to uwierzyć.

— ...stary, mój panie, stary... otóż dzisiaj staram się o oddanie w sposób możliwie najprostszy wszystkich, nawet najdrobniejszych uczuć odtwarzanych bohaterów, odkrywając w nich coraz nowe struny, które dawniej zostawały nieme; a najpełniejsze brzmienie, najczystszy ton i harmonję, najgłębszą i najróżnorodniejszą gamę uczuć wydobyć dzisiaj potrafię ze strun, które nazywają się: melancholja i rezygnacja.

Wyspowiadałem się panu szczerze. Oto droga, którą przebyłem od wirtuozostwa i zbytku ekspresji zewnętrznej do prostoty, do wczucia się w głębię swej roli. Słowem: od efektu do afektu.

— A jaka rola najbardziej panu odpowiada?

— Każda, którą gram. Niema złej roli, są tylko źli aktorzy.

— A kino? Co pan sądzi o wzajemnym stosunku teatru do kina, pan, jeden z pionierów początków kinematografu?

— Pan żartuje. Istotnie grałem Henryka II w pierwszym większym obrazie p. t. „Zabójstwo księcia de Guise". Byłem nawet założycielem wraz z Henrykiem Lavedanem pierwszej wytwórni p. f. „La Societé du Film d'Art". Działo się to w r. 1900. W krótkim jednak czasie rzuciłem „dziesiątą muzę". Nie byłem w stanie przenieść owego okresu od 1900 do 1912 r., okresu płaskiego komizmu, sztuk cyrkowych, filmów awanturniczych, pełnych cowboyów, Indjan, mordów i t. d. Dzisiaj, kiedy kino, po opanowaniu technicznem, staje się coraz bardziej sztuką samodzielną, o swoistych środkach ekspresji, dzisiaj za późno dla mnie zaczynać.

Rozległ się gong. — Podniosłem się...

— Niech pan powie swoim rodakom, że nie zapomniałem Lwowa, i że stary Le Bargy żałuje, że nigdy już was nie będzie mógł odwiedzić.

Cisza zupełna panowała w pogrążonej w mroku sali.

I naraz... nagle... zaszumiało. Jakiś olbrzymi okrzyk entuzjazmu, podziwu i miłości.

Le Bargy ukazał się na scenie. Markiz de Priola, uśmiechnięty, pewien siebie, zwycięski.

Le Bargy! Le Bargy! Le Bargy!

jw.

Teatr

Teatr Mały: „Mój ojciec miał słuszność", komedja w 3 aktach **Sachy Guitry;** przekład **Włodzimierza Perzyńskiego,** reżyserja **Zygmunta Nowakowskiego,** dekoracje **Stanisława Śliwińskiego.**

Komedja ta — to popularne wydanie filozofji ojca Coignarda. Ten sam hedonizm, ten sam cynizm, tylko jeszcze zabarwiony nieodzowną szczyptą sentymentalizmu. Tego sentymentalizmu może tu aż za dużo, zwłaszcza że nie godzi się on i nie harmonizuje z cynizmem zasadniczym.

Niechże mi po tem przedstawieniu nikt nie opowiada o cudownej harmonji, jaka panuje we współczesnej komedji

SACHA GUITRY

francuskiej. A przecież Guitry jest jakby najczystszym jej przedstawicielem, Molierem naszej epoki. Cóż za dysharmonja idej zasadniczych, jakież niezdecydowanie w poglądzie na świat; wydaje się chwilami, że to o autorze tej sztuki powiada wdzięczna (jakże zresztą banalną postać!) Loulou, mniej więcej w te słowa, że jest w nim stary, doświadczony człowiek, który wszystko widział i wszystko wie, a trochę jakby pięcioletnie dziecko. Ten starzec powiada nam: nic się nie zmieniło od wieków, człowiek nie jest ani lepszy ani gorszy, w dziesięciu latach jest małym nieznośnym kretynem, w trzydziestu — nieszczęśliwym, zdradzanym mężem, w pięćdziesięciu i wyżej — nieznośnym starym egoistą, któremu się wydaje, że posiadł mądrość i szczęście. Owo pięcioletnie dziecko, mieszkające w Guitrym, sporządziło taki pasztet z akcji, że wogóle nic się tam nie dzieje prócz mijającego czasu. Owo pięcioletnie dziecko kazało nam wierzyć, że z Warneckiego będzie kiedyś taki aktor jak Stanisławski; owo wreszcie dziecko opowiadało nam (a myśmy musieli przed niem, jak to przed dzieckiem, udawać, że wierzymy), że z takiego dobrze rozwiniętego (zwłaszcza w biodrach) „bobasa", jakiego pokazała nam p. Klimontowiczówna, wyrasta po dwudziestu latach chuchro w rodzaju p. Warneckiego. Ten epizod nie da się wytłumaczyć nawet tem, że sztuka w oryginale była przeznaczona dla prawdziwego ojca i rodzonego syna.

A te przyszywane stare kawały (doktór, depesza służby)! Kiedy niedawno wystąpiła z debjutem komedjowym jedna z najzdolniejszych naszych poetek, jakież kamienie posypały się na jej śliczną i młodę główkę, że „naruszyła konstrukcję utworu" przez przyhaftowanie (jedwabnemi ściegami białej ręki!) kilku zabawnych opowiadań. Niechże się uczy u Francuzów! No, i nauczyłaby się! Sądzę, że „Szofer Archibald" byłby największem clou sezonu u nas i w Paryżu, gdyby go p. Pawlikowska, zamiast składać dyr. Szyfmanowi, przetłumaczyła na francuski i sprzedała Guitry'emu. Siedzielibyśmy przed nim, jak przed „Moim ojcem", z rozdziawioną gębą, i klaskalibyśmy, bo to paryski genre, spryt, gest, wdzięk, ton.

Aby wykonać tę mozajkę filozoficzno - sentymentalną p. Szyfman musiał zaangażować ad hoc p. Siennicką, gdyż żadna inna aktorka jego teatru nie chciała się przyznać do pięćdziesięciu lat. Wygraliśmy na tem na czysto. Cóż za cudo ta wielka dama, i kokota zarazem, strojna, piękna, zwiędła już, a jeszcze czarująca, kłamliwa, pozująca, sztuczna, a mimo to nawet wzruszająca — arcydzieło gry scenicznej, jakiego dawno nie widzieliśmy już w naszym repertuarze komedjowym. Mały akcencik szczerości, jaki kładła pośród sztucznego szczebiotu na słowa „tak mi w tej chwili jest ciężko", — sam wart jest oprawy w złote ramki.

Stanisławski jak zwykle wyborny: miły i przemawiający do serca. Panna Leszczyńska miała w drugim akcie prześliczny kostjum. Panna Kawińska, bardzo wierna służąca, od lat nie wychodzi z tej roli.

ji.

SCENA POLSKA

Organ Związku Artystów Scen Polskich

Ukazał się zeszyt trzeci r. b. i zawiera pracę *Ad. Zagórskiego* p. t. „Zagadnienie sceny i zagadnienie widowni", wyczerpującą kronikę, bibljografję i materjały teatralne za kwartał II r. b.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa

Camera obscura

Bydgoska polemika.

W nr. 253 „Dziennika Bydgoskiego" czytamy:

„Na łamach „Słowa" zamiast Nowaczyńskiego wystąpił w szranki jakiś pan Stefan Sacha i on nad Dziennikiem macha krzywym kosturem, jak krowa ogonem, gdy ją bąki gryzą. Ten pan musiał być kiedyś docentem urynologji na akademji smorgońskiej. Mimo to tę tak naturalną potrzebę sam spełnia bardzo niezręcznie i zbyt rozlewnie.

...Szkoda, że oślica Balaama już nie żyje. Miałaby parę. Albo szkoda, że pan Sacha nie urodził się pod panowaniem rzymskiego Kaliguli, który swoje konie robił senatorami. Pan Sacha, ponieważ jest pośledniejszego gatunku, miałby widoki bodaj na podsenatora.

— — — — — — — — —

Wogóle ten pan (Sacha) stawia „Dziennikowi" więcej zarzutów, niż sam ma sierści na grzbiecie, a w każdym razie pod brzuchem..."

Jeżeli pan Sacha ma istotnie sierść pod brzuchem i jest poprostu koniem, dlaczego innym wymyśla od koni? Wogóle sprawa jest piekielnie zawikłana. Nie namawiam p. Sachy, ale mógłby kopnąć.

Pan z pastwiska przy biurku redakcyjnem.

W dodatku do „Rzeczypospolitej" z dn. 10 października 1925 r. pomieszczono fotografję, przedstawiającą statuę „Peter Pana". Pod fotografją podpisano:

„Najpiękniejsza statua Londynu „Peter Pana" dłuta George'a Framptona, przedstawiająca greckiego boga pastwisk, łąk i pól „Pana" z Arkadji.

„Peter Pan" nie jest greckim „Panem", lecz tytułem powieści pana Barrie, — a ten pan, który pisał o „Peter Panie" i poplątał go z „Panem", nie jest żadnym panem, tylko zwykłym ignorantem.

Mniejsze rozmiary.

W „Kurjerze Polskim" w nr. 351 w recenzji muzycznej p. Antoniego Grudzińskiego czytamy:

„Reflektywność swych wrażeń, otrzymanych z przeżycia nastrojowego w symfonji „Pastoralnej" Beethowena, przybrała formę w rozmiarach mniejszych, w charakterze — niezdecydowanych".

„Kurjer Polski" mógłby się postarać o kogoś, kto pisze głupstwa w rozmiarach mniejszych i w charakterze niezdecydowanym.

Człowiek czy kanarek?

W nr. 261 „Gazety Bydgoskiej" czytamy:

„Kanarki Harceńskie 1.000 sztuk samczyków i 600 sztuk samiczek, Klub Kanarków w Król. Hucie (G. S.) poleca z hodowli swoich członków kanarki z premjowanych złotemi i srebrnemi medalami. Cena zależna od jakości śpiewu. Zgłoszenia ze znaczkiem na odpowiedź nadsyłać pod adresem: M. Tadeuszak, prezes, Królewska Huta, G. Śląsk, ul. Florjańska 42".

Nic to, że kanarki założyły klub, ale czemu to jeden z nich przezwał się Tadeuszakiem i mianował się prezesem wszystkich ptaków. Musi to być jakiś wielki stary kanar.

Ciężki poród.

W „Expressie Porannym" w artykule p. t. „Piętno hańby" czytamy:

„Czasem się tak życie ludzkie w splocie przeróżnych wydarzeń układa, że najniewinniejszego najcięższym zarzutem obarcza i uniemożliwia mu wydobycie się z matki, w którą los z niewiadomych powodów go wtrącił".

Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że to nie los wtrącił go do matki, jeśli wogóle wyrażenie „wtrącił" jest odpowiednie. Wydobycie się z matki przeżył każdy z nas z wyjątkiem tych, których ciocia urodziła, tak iż niema powodu do rozpaczy: ot, poprostu — albo ciężki poród albo też zwyczajny błąd zecerski.

Psipsi o Psiapsi.

„Rzeczpospolita" w nr. 310 protestuje gorąco, pisząc o „Iwonce":

„O Psiapsi należy powiedzieć tylko tyle, że nietaktownem jest stawianie w reklamie psa narówni z ludźmi - wykonawcami ról".

Muszę stanąć w obronie nieznajomej „Psiapsi". Przyznać należy, iż gra tego pieska nie stoi narówni z ludźmi, a raczej przewyższa wszystkich wykonawców „Iwonki", wdziękiem i bezpośredniością. Nie trzeba również zapominać, że w reklamie był wymieniany również p. Henryk Liński, a nikt — nawet „Psiapsia" — za to się nie obraziła.

Echa polemiki

W następstwie postępowania honorowego pomiędzy p. Mieczysławem Grydzewskim a p. Adamem Zagórskim, na skutek artykułu p. Zagórskiego w „Przeglądzie Wieczornym" z dn. 24 listopada 1925 r., okoliczności zatargu honorowego zastępcy obu stron ustalili w sposób następujący:

„W „Wiadomościach Literackich" w nr. 47 z dn. 22 listopada 1925 r. ukazała się notatka podpisana pseudonimem „jam", skierowana m. in. przeciwko krytyce p. Adama Zagórskiego. Pan Zagórski odpowiedział na to artykułem p. t. „Podejrzani obrońcy" w „Przeglądzie Wieczornym" z dn. 24 listopada 1925 r., którym to artykułem zaatakował pewien typ metody polemicznej. Pan Grydzewski uczuł się dotknięty dziewiętnastowierszowym ustępem artykułu tego od słów: „...właściwie należałoby" do słów „...kuci na oba boki".

Wobec powyższego, zastępcy p. Adama Zagórskiego imieniem swego mocodawcy oświadczają, iż ostre słowa, użyte w odnośnym ustępie artykułu p. Zagórskiego i mogące podać w wątpliwość czyjąkolwiek honorowość, użyte zostały jako przykład agresywnej metody krytycznej, nie dotyczą zaś wcale osoby p. Grydzewskiego, ani nie kryją w sobie aluzji do żadnego konkretnego faktu. Oświadczenie niniejsze zastępcy obu stron postanowili ogłosić w zainteresowanej prasie.

Warszawa, dn. 21 grudnia 1925 r.

Zastępcy p. Grydzewskiego: **Tadeusz Gronowski, Jan Nepomucen Miller.**

Zastępcy p. Zagórskiego: **Wacław Szumański, Zygmunt Łempicki.**

Korespondencja

J. M. we Lwowie. Dziękujemy. List przesłaliśmy p. Wierzyńskiemu.

Dr. **W. Gr. w Leżajsku.** Księgarnie doliczają około 25% za porto z zagranicy do kraju.

M. Ostr. Z „Geografji" nie skorzystamy.

B. B. w Poznaniu. Dla braku miejsca z zaofiarowanego artykułu nie skorzystamy.

K. A. J. Nie skorzystamy.

L. T. w Przemyślu. Jest opracowany.

Sz. W. w Będzinie. Pan Iwaszkiewicz prosi o podanie adresu.

Ant. N. Z wierszy nie skorzystamy.

Antoni N. „Tryptyk" nie do druku.

Majnik. Nie będziemy drukowali.

J. W. Nie skorzystamy.

F. K. we Lwowie i R. W. w Poznaniu. Jest to omyłka literowa; rozwiązania Szanownych Panów brały udział w losowaniu.

Stałemu Czytelnikowi. Wzmianki nie umieścimy.

Ig. Gl. Dziękujemy.

E. D. w Krakowie. Nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić.

L. H. w Krakowie. Z krzyżówki skorzystamy.

Studentowi uniwersytetu warszawskiego. Nie skorzystamy.

P. B. Nie umieścimy.

J. Ł. w Lubartowie. Zawiadomimy Szanowną Panią możliwie szybko; nie posiadamy narazie adresu rodziny pos. p. Licińskim.

T. Z. w Łunnej. Firma jest solidna.

J. Ż. Nie będziemy drukowali.

R. Br. w Krakowie. Tylko poprawne.

Wyszły z druku dwa nowe zbiory utworów poetyckich Antoniego Langego: 1) „Trzeci dzień", wiersze pisane w r. 1915—1923. 2) „Pocałunki".

Uprasza się osoby, pragnące wziąć udział w pracy nad zagadnieniami z zakresu poetyki (teorji i prozy), o zgłoszenie się listowne: L. Podhorski-Okołów, Warszawa, ul. ks. Skorupki 10 m. 17, lub telefoniczne 514 61 od 14½—15½.

JAN BRZECHWA

OBLICZA ZMYŚLONE

Poezje

Cena zł. 3.—

Księgarnia Gustawa Szylinga

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Arct, Bibljoteka Dzieł Wyborowych, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Gebethner i Wolff, F. Hoesick, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, Zygmunt Pomarański i Spółka, „Renaissance", Trzaska, Evert i Michalski, E. Wende i S-ka, Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy.

Encyklopedje, bibliografja

Ilustrowana encyklopedja Trzaski, Everta i Michalskiego pod redakcją d-ra **Stanisława Lama.** Zeszyt 2. Warszawa, (1926); szp. 129—256 i tabl. 5. Zł. 5. — Zeszyt drugi tego pożytecznego wydawnictwa otwiera słowo „Anglja", kończy słowo „Baily". Pięknie wykonane tablice obejmują „Barok i rokoko (architektura)", „Barok i rokoko (przemysł artystyczny)", „Chrystusa w dziełach sztuki", „Ciepło".

Historja literatury, krytyka estetyczna

Pamiętnik I ogólnopolskiego zjazdu polonistów w Warszawie w dniach 24, 25 i 26 kwietnia 1924 roku. Opracował **Władysław Kopczewski,** sekretarz generalny zjazdu. Odbitka z czasopisma „Muzeum", r. 1925, z. 1/2. Lwów, Książnica-Atlas, 1925; str. 166 i 2nl. Zł. 4.— Tom obejmuje następujące prace: „Cele i charakter nauczania literatury polskiej w szkole średniej" Kazimierza Wóycickiego, „Nauka literatury w szkole średniej a uniwersytet" Zygmunta Łempickiego, „Program ministerjalny nauki języka polskiego w szkole średniej w świetle dotychczasowej praktyki" Zenona Aleksandrowicza, Juljusza Balickiego, Ryszarda Skulskiego, Juljusza Zaleskiego, „Poeci romantyczni w programie szkolnym" Stanisława Adamczewskiego, „Lektura arcydzieł obcych przy nauce języka polskiego" Franciszka Bielaka, „Ćwiczenia w mówieniu jako postulat ogólno-pedagogiczny w szkole średniej" Ryszarda Skulskiego, „O wygłaszaniu estetycznem w szkole średniej" Juljusza Balickiego, „Teatr szkolny" Juljusza Balickiego, „Podręcznik do nauki o języku ojczystym" Zenona Klemensiewicza, oraz protokóły.

Powieść, nowela

Bibljoteka Przygód Romantycznych. Redaktor **Ludwik Fiszer.** Tom XIV. **Aleksander Dumas** (ojciec). Pamiętniki lekarza. Naszyjnik królowej. Powieść. Tom II. (Okładka **Kamila Mackiewicza).** Warszawa, E. Wende i S-ka, (1926). Zł. 0.95. — Prenumerata kwartalna tej najtańszej polskiej bibljoteki kosztuje zł. 8.50, z przesyłką pocztową — zł. 9.50.

Eliza Orzeszkowa. Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem **Aurelego Drogoszewskiego.** Tom IV. Dziurdziowie. Cham. Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 141 i 3nl. Zł. 5. — Nowy tom zbiorowego wydania dzieł Orzeszkowej zawiera dwa arcydzieła znakomitej pisarski, która oczekuje swego renesansu w Polsce.

Jakób Wassermann. Usta nigdy niecałowane. Przełożył **Belmont.** (Wiedeń), „Renaissance", (1925); str. 138 i 3nl. Zł. 4. — Opowieść o dziewczynie, której ust nikt nigdy nie tknął za życia, o demonicznej kobiecie, kuszącej do zbrodni obietnicami wyrafinowanej rozkoszy, i o starcu, napawającym się skrycie uciechami biblijnego patrjarchy.

Plastyka

Mieczysław Treter. Nieznany cykl Artura Grottgera. Warszawa II. Lwów, Książnica-Atlas, 1926; str. 4nl. i 35 i 1nl. i plansz 7. Zł. 16. — „Warszawa II", nieznany dotąd zupełnie cykl Artura Grottgera, wykonany przez artystę w Wiedniu w 1862 r., a następnie sprzedany do Anglji, został dopiero wiosną 1925 r. odnaleziony w zbiorach „Victoria and Albert Museum" w Londynie. Cykl ten, odmienny od znanego cyklu Warszawy, wykonanego przez Artura Grottgera w r. 1861, obejmuje również siedem kartonów, z których cztery opracowane są na nowych całkowicie motywach. Trzy pozostałe, jakkolwiek o wątku identycznym, przekomponował artysta gruntownie, wznosząc się w nich na wyższy bez porównania stopień artystycznej doskonałości. W publikacji niniejszej, prócz szeregu reprodukcyj z dzieł Artura Grottgera w tekście krytycznym, opracowanym przez Mieczysława Tretera, znajduje się siedem doskonale wykonanych plansz, oddających subtelnie i wiernie wszystkie właściwości arcydzieła.

Wojskowość

Bibljoteka Pamiętników i Materjałów do Historji Wojny Światowej. Tom II. **Eryk v. Falkenhayn,** generał piechoty. Niemieckie dowództwo w latach 1914—1916. Z niemieckiego przetłumaczył dr. **B. Merwin,** major. Warszawa, Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy, 1926; str. 235 i 1nl. i zał. 7. Zł. 5.50. — Praca b. szefa sztabu generalnego i jednocześnie ministra wojny Rzeszy tyczy się najważniejszych wydarzeń dwóch pierwszych lat wojny światowej. Dla nas jest ona szczególnie ciekawa ze względu na to, że autor omawia również i walki prowadzone na terenie Polski, oraz stosunek naczelnych władz państw centralnych do sprawy polskiej, której poświęca osobny rozdział p. t. „Oswobodzenie Polski", przyczem daje wyraz swym niechętnym poglądom w stosunku do utworzenia niezależnego państwa polskiego jako utrudniającego zbliżenie się Rosji do Niemiec oraz jako wytwarzającego niebezpieczną irredentę pod bokiem zaboru pruskiego. Na uwagę zasługują również powody walki polsko - niemieckiej, podane przez kanclerza Rzeszy (sierpień 1915 r.).

Tadeusz Piskor, generał brygady. Działania dywizji kawalerji na Ukrainie, od 20.IV do 20.VI 1920 roku. Warszawa, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, 1926; str. 8nl. i 248 i 2nl. i zał. 27. Zł. 8. — Gen. Piskor, b. szef sztabu I dywizji kawalerji, opisuje walki tej dywizji z armją konną Budiennego, dając w ten sposób cenny materjał tyczący się roli i znaczenia kawalerji samodzielnej. Ze względu na bogaty materjał oraz oryginalne a oparte na doświadczeniu wnioski autora, praca ta jest wybitnie ciekawa dla wszystkich interesujących się zagadnieniem walki kawalerji w ramach wyższych jednostek. Dzieło gen. Piskora wypadło niezwykle żywo i zajmująco. Opisy poszczególnych bitew, poza samą stroną taktyczną, często porywają, tak że książkę czyta się z niesłabnącem zajęciem, zarówno dla samego zagadnienia jak i dla sposobu, w jaki je przedstawia autor.

Miscellanea

Bibljoteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925. — 113. **Franciszek Morawski.** Wizyta w sąsiedztwo i Listy poetyckie. Wydanie drugie. Str. 21 i 3nl. Zł. 0.25. — 152. **Fr. Karpiński** i **D. Kniaźnin.** Wybór poezyj. Wydanie drugie. Str. 66 i 2nl. Zł. 0.70. — 233. **Piotr Choynowski.** Pokusa. Str. 22 i 2nl. Zł. 0.35. — Choynowski „debjutuje" w „Bibljoteczce Uniwersytetów Ludowych" jedną ze swych najlepszych nowel, owianą głęboką znajomością duszy wyrostka.

Bilet do kina

nie jest tańszy od

Biblioteki Wesołych Opowieści

która za 4 zł. 50 gr. kwartalnie daje 9 dużych książek i 9 dodatków ilustrowanych

Półrocznie (18 tomów) — 9 zł., rocznie (36 tomów) — 18 zł.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. nr. — 15[illegible] lub przekazem pocztowym na adres:

„BIBLJOTEKA WESOŁYCH OPOWIEŚCI"

Warszawa, Grzybowska 11

Czwarta wielka rewja sezonu

1925/26

p. n.

„Pod sukienką"

w 2 częściach (24 obrazach)

T E A T R

PERSKIE OKO

Codziennie 2 przedstawienia o g. 7[15] i 9[30]

Nowy Świat 63

(dawne „Rococo")

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18. Konto pocztowe nr. 8515.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI.